Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

III.

Suhak.

Suhak także Sumak, inaczej u nas kozą ukraińską zwany, to trudny do zgryzienia orzech, to mało znany kwiatek w tym skromnym wianku naszej zatraconej fauny łowieckiej, który choć w najskromniejszych rozmiarach pragnąłbym uwić przed oczami łaskawego czytelnika.

Jak lotne jego niegdyś zjawisko na naszych stepach, tak w zatartych konturach maluje się jego postać w dziejach naszego łowiectwa i w jego tradycyi, pomimo iż niedawno dopiero zamarło pokolenie, w miejscach „gdzie Boh po granitach srebrne szarfy snuje“, pokolenie tych łowców, co w dzikich harcach na koniu, goniło w poezyi po stepach „pierzchliwe sumaki“.

Autor króciutkiej wzmianki o suhaku, umieszczonej w *Przyjacielu ludu* z r. 1835 wspomina, iż „starzy ludzie na Ukrainie i na Podolu bardzo dobrze jeszcze pamiętają zabiegającą dawniej ze stepów bessarabskich kozę dziką, pospolicie suhakiem zwaną (stron. 52) i umieszcza obok rycinę, mającą przedstawiać niby to suhaka. Rycina ta, widocznie tylko z pamięci i pod wpływem nazwy „kozy“ sporządzona, podobną jest raczej do jakiegoś rodzaju kozy, aniżeli do którejkolwiek z antylop, w rzędzie których naturaliści suhaka zamieszczają.

Buffon i inni późniejsi naturaliści zwą suhaka „sajgą“, a u Brehma zwie się on również *Cervicapra saiga*, antylopa stepowa, o której ten przyrodnik dosłownie powiada, iż zamieszkuje obecnie w stepach wschodnio-europejskich, od granic polskich począwszy aż do Ałtaju. Ośmielę się tu także dopowiedzieć zdanie moje i przenieść obecne siedliska suhaka nieco dalej na wschód, na owe rozległe stepy, jakie się rozciągają po obu stronach dolnego biegu Wołgi, między rzekami Uralem i Manyczem, a zdaje mi się, że tem przeniesieniem rozpoczynających się siedlisk zwierza o jakie 200 mil. geogr. na wschód, nie wyrządzę krzywdy geografii łowieckiej.

Suhak przebywa zatem na kresach Europy, a nieubłagany postęp czasu wymaże go zapewne wkrótce z fauny europejskiej, w której z rodziny antylop pozostanie tylko jedynie kozica okolic alpejskich, utrzymująca się pod ochroną specyalnych ustaw.

Teluryczno-klimatyczne stosunki pewnego czasokresu przedhistorycznego Europy, umożliwiając rozszerzenie się wielu gatunków zwierząt stepowych, sprzyjały zarówno i suhakowi. Znajdować się on musiał w całem paśmie Europy środkowej aż po brzegi Atlantyku, jak to udowadniają znalezione szczątki jego nad Dunajem koło Regensburga i dalej na zachód w Akwitanii. Gdy się jednak poczęła zmieniać z czasem stepowa natura wielu krain Europy, suhak, ten wyłączny mieszkaniec stepu, ta prawdziwa antylopa nagich równin, musiała albo ginąć albo daleko wcześniej niż inni stepów mieszkańcy zdecydować się do cofania na wschód, ku Azyi, aby tylko wymknąć się z tej leśnej natury, z tej wilgocią przesyconej atmosfery borów, jaką tutaj koleje wieków sprowadziły, a z którą w żaden sposób organizm suhaka pogodzić się nie mógł. To też historyczne wieki Europy, zastawszy w środkowym jej paśmie krajów nieprzejrzane lasy, bory i puszcze, nie wspominają już nigdzie o tym zwierzu, i jedynie tylko stepowe, suche położenia Ukrainy i wschodniego Podola, zaliczają go aż do połowy 18. wieku do swej fauny. Od tej wszakże pory, płochy ten i znamion kultury nienawidzący zwierz, cofa się bardzo raźnie na wschód, zacieśniając coraz bardziej granice swych siedlisk.

Inne zwierzęta stepów, faktycznie współczesne suhakowi w Europie, susły, chomiki, myszy polne itp., owi nieznośni eklektycy z rodu gryzoniów, których wycofania z Europy podobno już się nie doczekamy, ugruntowały w najlepsze swe państwa wśród nowych stosunków kultury i zmian kosmicznych, wyzyskawszy na swą korzyść uszlachetnione pracą ludzką płody ziemi. Przypominają nam one zawsze, po ustąpieniu z naszej ziemi innych stepowych mieszkańców, owe zmienne koleje, jakie Europa pod względem klimatu w biegu wieków przechodziła. Jeszcze na równinie północnoniemieckiej, niemniej pośród jeziorzystych i lesistych niegdyś położeń dawnej północnej Sarmacyi, znajdują się niby wysepki, nie wielkie powierzchnie, pokryte florą stepową, wśród lesistych brzegów Dunaju te same spotkać się dają zjawiska, a tu i ówdzie nad górnym biegiem tej rzeki występujące sporadycznie owady stepowe, są po dziś dzień świadkami odległej przeszłości.

Trudno jest dociec czyli suhak, którego spotykamy w pewnych dzielnicach ziemi naszej coś do połowy ubiegłego stulecia, był tam zwierzęciem stałem, czyli też pojawiał się czasowo, jakby w zamiarze rozpoczęcia nowej na zachód wędrówki. Wiele okoliczności zdaje się za ostatniem przypuszczeniem przemawiać, a przedewszystkiem podania o łowiectwie ukraińskiem, gdzie rzadko tylko spotkać się można z wiadomością o łowach na suhaka. Prawdopodobnie zatem w pewnych latach, w skutek rozmaitych klimatycznych przyczyn, a w szczególności w skutek zniszczonej posuchami wegetacyi na dalszym wschodzie, posuwał się ten zwierz na zachód za żerem i zaganiał się nieraz aż do wschodnich powiatów Podola. Nazwa, jaką suhakowi dali nasi naturaliści: *Antilope scytica* co na jedno z *Antilope tartarica* wychodzi, wskazuje również, że w mniemaniu ówczesnych nie należał suhak do stałej fauny naszych stepów; zwano go „tatarski suhak, bo stamtąd do Polski ród swój wprowadził“ (Chmielowski Ateny 584).

Statut litewski we wszystkich swych trzech wydaniach, wyliczający tak skrzętnie łowne zwierzęta krajowe, i który po licznych zmianach za Stefana Batorego w całej Rzeczypospolitej miał moc obowiązującą, nie wspomina o suhaku, co dowodzi, iż stepowego tego zwierza prawodawstwo wcale do krajowej fauny łowieckiej nie zaliczało, uważając go jako chwilowego przybysza od granic tatarskich.

Jako zwierz taki, nie mógł być suhak przedmiotem łowów na wielką skalę, a tem mniej niepewne te łowy mogły wabić kogoś z daleka; stąd też i o łowach na niego nie wiele nam dawne czasy przekazały, zwłaszcza, że suhak zapuszczał się w te z ziem Rzeczypospolitej, gdzie od niepamiętnych wieków odbywały się harce poważniejszej natury, harce sławnej naszej jazdy, której zjawienie się na kresach, na tym mogiłami najeżonym stepie, było zawsze zapowiedzią krwawego dramatu. Nie czas tu było myśleć o rozrywkach myśliwskich, nie pora pierzchliwe po stepach gonić antylopy, gdy lada chwila mogły się ukazać na widnokręgu tłumy dziczy najezdniczej, i gdy po szczęśliwym powrocie z tańcu tatarskiego czekały lepszych widoków łowy w domu.

Łowy ukraińskie musiały zatem zatrzymać czysto miejscowy charakter i wyrobić się w pewnym odrębnym kierunku, jakiego dopuszczała przyroda ziemi i żyjącego na niej zwierzostanu, niemniej jaki wytworzyć się musiał pod ciągłym wpływem sąsiednich narodów, tak różnych rasą i obyczajem. Tu, gdzie

„Woda szumi porohami,
Od porohów sokoł leci,
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma w nocy świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka —
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mary przez czahary
I krynica bije na dnie...

— na tej ziemi, dla wiatru konia i ptaka jakby stworzonej, rycerskie harce z koniem, chartem i sokołem dotrwały do późnych czasów, gdy w innych dzielnicach naszej ziemi w łowiectwie możnych wkradły się zbytkowne zwyczaje z Niemiec i z Francyi, gdzie z altan panowie i panie sprawiali istne rzezie przepędzanego zwierza.

Polowanie z chartem pieszo na sporadycznie pojawiające się na stepie suhaki było prawdopodobnie głównie przez kozactwo uprawiane, a miał istnieć nadal na Zaporożu osobny kureń kozaków, zwanych od wykonywania lisich łowów „Lisicznikami“, mający swego atamana. Kozacy ci, łowiąc lisy, wilki i inną miejscową zwierzynę, byli także jak się zdaje niezrównanymi mistrzami w podchodzeniu stad suhaków, pomimo iż Marcin Paszkowski, tłumacz kroniki Sarmacyi europejskiej Gwagnina (a raczej Stryjkowskiego) powiada na początku XII. wieku: „rzadko mają z nich zdobycz, bo nie najdzie nad ten zwierz prędszego“.

Niedziw, że łowy piesze z chartem lub podsuwanie się a raczej podczołgiwanie z bronią pod stada szybkich i ostrożnych zwierząt, nie mogły mieć wielu amatorów. Burzany i czahary stepów umożebniały podsunięcie się piesze z chartami na smyczy, a było to głównym warunkiem udania się sztuki. Jeździec zdala widoczny i podsłyszany przedwcześnieby spłoszył lotne to zwierze i spowodowałby odsadzenie się zwierza na wielką metę, którejby i chart ukraiński nie zdołał wyrównać. Bieg suhaka musi być nadzwyczaj rączy, jeżeli praktyczni w tych łowach kozacy, dzieci stepów, przyrośli do konia, musieli tak żmudną wykonywać praktykę, podczas gdy chyże zające zabijali z konia t. z. buławką, t. j. kijem o ołowianej na końcu gałce. Była to zręczność nielada i w kąt wszystkie łowy *par force*, a w szczególności z harapem na lisa, jakie jeszcze podziśdzień praktykuje z gorączkową namiętnością i na wielką skalę cała polująca Anglia.

Ile tam suhaków upolowali Ukraińcy, któż to może wiedzieć? Biesiada po szczęśliwych łowach była zbyt skromną, aby się dostała pamięć o niej aż do nas. Przeciwnie, o sutych ucztach magnatów wiemy dokładnie, bo znajdywali się zawsze specyaliści, którzy z drobiazgową skrupulatnością opisywali podobne zdarzenia, albo treść ich w zbliżeniu odkryły nam przypadkowo jakieś na pozór mało znaczne a w rzeczywistości ważne dla historyi obyczajów rachunki domowe i gospodarskie. Ale cóż, kiedy i tutaj synonimika nazw zwierząt mąci rzecz główną i nie pozwala nam nabyć pewnej wiedzy, o ile omawiany suhak, zaliczany u nas do zwierzyny płowej, przyczyniał się do uświetnienia stołów pańskich.

Skorowidz dziczyzny, wyjęty niezawodnie z jakichś starych rachunków spiżarnianych, jaki tutaj poniżej naprowadzam, grzeszy właśnie niedokładnością nazw w tem miejscu, na którem mi najwięcej zależy.

Na ślubie Felicyana Potockiego, z córką Jerzego Lubomirskiego w 1681 r. zużyto na ucztę, którą przygotowywało 75 kucharzy, 6 pasztetników i 4 cukierników następującą dziczyznę: jeleni 24, danieli 30, zajęcy 300, kóz dzikich 10, sarn 45, dzików 4, jarząbków par 1000, kuropatw par 1000, ptaszków różnych 3000, gęsi dzikich 100, kaczek 500, cyranek 300, dropi 12 (Stanisław Czerniecki podstoli żytomirski. Kurjer Warszawski 1827).

Cztery gatunki zwierząt łownych zwano u nas nieraz kozami dzikimi: sarnę, daniela (Dykcyonarz Troca 1779) kozicę (Dr. M. Nowicki. Łowiec 1884. str. 101) a wreszcie i suhaka. Gdy w powyższym skorowidzu najwyraźniej osobno daniele i sarny wyszczególniano, pozostają tylko suhak i kozica jako zwierzyna, którą pod nazwą dzikich kóz rozumiano. Lecz i tutaj, pomiędzy tymi dwoma reprezentantami rodziny antylop na ziemiach naszych, pomiędzy mieszkańcem stepów ukraińskich a powabną skoczką tatrzańskich skał, trudny i chyba dowolny może nastąpić wybór, gdyż w stadło małżeńskie łączyli się potomkowie rodzin magnackich, z których jedna dzierżyła podówczas ziemię spiską, druga zaś na Ukrainie ogromne posiadała latifundia.

Wszelkie prawdopodobieństwo mówi za tem, iż w skorowidzu powyższym poszczególnione „kozy dzikie“ były to kozice a nie suhaki, gdyż trudno przypuścić, aby u schyłku 17-go wieku można było mieć na zawołanie 10 suhaków w zdobyczy łowieckiej. Chyba, że zwierzyna ta z jakichś dalszych stron pochodziła.

Opisy przyrody ukraińskiej, mniej więcej współczesne, wcale nie wskazują, aby to był kraj w zwierzynę płową bogaty, a kozactwo głównie rybołowstwem się zajmowało. Beauplan w opisie Ukrainy mówi, że kozacy gotowali rybę w kociołkach drewnianych, a Hieronim Pinoni, sekretarz króla Jana Kazimierza, pisze o kozakach: „mają wielkie dochody z połowu ryb, czem się bardzo bawią, bo niemal wszyscy siedzą na brzegach dnieprowych, ale i około porohów wielkie łowiska mają“...

Opisując następnie gatunki wyławianych ryb, sposoby ich konserwacyi i handel, mówi dalej kończąc ustęp „o dochodach kozackich“: „także ciągną zyski z owiec, nabiałów, rogatych bydeł, z młynów, zgoła z tego wszystkiego, co ziemia tamta obficie niesie, a zwłaszcza z saletry, którą kopiąc, znajdywali skarby w Bracławszczyźnie“. (O Bohdanie Chmielnickim i o kozakach 1654. Ojczyste wspominki Ambr. Grabowski 1845. Tom. I. str. 140). Specyalnie o łowiectwie miejscowem autor ten wcale nic nie wspomina, co bynajmniej jeszcze nie udowadnia ubóstwa tej krainy w zwierzynę, domyślać się jednak każe, iż w 17-ym wieku suhak należał tam do rzadkości, zwłaszcza, że Lipomani w swej relacyi, mówiąc o rozmaitych zwierzętach dzikich, które „idąc pić w nocy, straszą żołnierzy stojących na pograniczu przeciw Tatarom“, nie wspomina o suhaku, który, gdyby był zjawiskiem częstem, byłby musiał zwrócić uwagę jego jako wyłączny mieszkaniec tej części Rzeczypospolitej.

Również w misteryach sztuki kulinarnej, która od 16-go wieku począwszy osobliwie w 17-ym wieku obok wybrednej dla smaku przyprawy, łączyła w sobie estetykę barw, kształtów i zewnętrznego przepychu, nie można odszukać śladów suhaka, pomimo iż figurują tam rozmaite rarytasy stołów pańskich, rozmaite paradne potrawy z cząstek zwierzyny krajowej, których z pewnością w czasach obecnych nikt do przysmaków nie zaliczy.

Już nie wiem, na którego to magnata dworze zastawiono choremu legatowi papiezkiemu nogę łosia, przypisując tej potrawie jakąś moc uzdrawiającą. Że się chory Włoch tem daniem nie bardzo pokrzepił, któżby dziś powątpiewał? Za przysmak poczytywano kóz karpackich ogonki*), łapy niedźwiedzia, chrapy łosie (Gołębiowski, Domy i dwory. Warsz. 1830 str. 36) a wreszcie, czego już wcale zrozumieć nie możemy, „kuropatwie nóżki nad świecą woskową w samych paluszkach przypiekane“ (tamże str. 55).

Gdyby suhak był stałem lub częstem na ziemiach polskich zjawiskiem, nie pominęłaby go z pewnością polska sztuka kuchenna, która, idąc za przysłowiem: „lepszy talar utraty, jak za półgroszka wstydu“, umiała z najrozmaitszej zwierzyny krajowej sporządzać takie rarytasy, o jakich mówi książka kucharska *Compendium ferculorum* Stanisława Czerniecкiego, sekretarza JKMci i kuchmistrza Aleksandra Lubomirskiego, wojewody krakowskiego (w Krakowie 1573).

Ukraina nad niższym biegiem rzek Dniepru i Bohu, Pobereże, te wielkie płaty ziemi, na których miał żyć suhak aż do połowy zeszłego stulecia, te kraje zupełnie odrębnej od reszty ziem polskich natury, żyją w trwałej bo krwawymi zgłoskami zapisanej pamięci narodu, żyją uświęcone powieścią i pieśnią, pociągają różnobarwnym strojem poezyi i dum stepowych. Wiankiem do około obsiadły tę krainę łupieskie hordy dziczy azyatyckiej, nad Dniestrem Tatarzy, Lipkowie, pomiędzy Dniestrem a Bohem nad Czarnem morzem hordy oczakowskie, za Dnieprem chanat perekopski i nogajski — sami bądź wasalowie, bądź w najrozmaitszych stosunkach zależności od sułtana carogrodzkiego pozostające wojowniczego ducha narody, u których nigdy nie wygasała chęć łupieży i mordów, a od czasu do czasu obudzała się idea głębsza, wspólna wszystkim islamitom: podbicie Europy pod znakiem półksiężyca i zielonej chorągwi wielkiego proroka.

Na straży świata chrześciańskiego, w obronie europejskiej cywilizacyi, spełniała tu Rzeczpospolita swą wielką misyę. Wojska koronne strzegły stale kresów, magnaci utrzymywali tu własne siły zbrojne, ludność miejscową w wiecznem pogotowiu wojennem osobnymi obdarzono przywilejami. Nie szeregiem szańców na wielką skalę, jakimi Rosya zabezpieczyła w latach 1737 i 1740 swe południowe granice, ale odważną piersią i wśród stepów rozrzuconymi małymi zameczkami spełniano chlubnie to wielkie posłannictwo, dzięki czemu Europa swą obecną cywilizacyę zawdzięcza. Naprzeciw stały wielkie potęgi wojenne, skoro sam chanat krymski, jak to twierdzą historycy, 200.000 jeźdźców mógł

*) W. Jastrzębowski. Historya naturalna ziemiańska 1870 str. 576 kozica zwana Antylopa skalna albo kozica karpacka. (*Antilope rupicapra*).

wysłać na boje. Hartowały się tu uczucia, ludzie urastali na bohaterów w tej szkole rycerskiej, a serdeczny duch sławiański snuł rapsody bohaterskie lub smutnie dumał nad swą niedolą.

Wielkiej wagi zdarzenia polityczne, jakich widownią była ta kraina, usuwały wszystko inne na bok, a przedziwna i bogata przyroda kraju nie mogła zwracać na siebie uwagi, gdy umysły ku czemu innemu były skierowane. Posiadaliśmy wielu mężów uczonych, którzy pozostawili bardzo cenne opisy dalekich stron świata, inni kreślili szczegółowe topografie pojedynczych dzielnic Polski, a wobec tego jest faktem, iż owe kraje, będące czy to miejscem gościny czy też stałem siedliskiem zwierza, który oprócz tych kresów Rzeczypospolitej nigdzie więcej w Europie w czasach historycznych nie istniał, były najmniej znanymi pod względem przyrodniczym. Stąd owe urywkowe i bardzo luźne wiadomości o suhaku, tak w dziełach przyrodniczych, jakoteż w dziejach i tradycyi łowiectwa polskiego

Wyjątkowe dzieje tej krainy wprowadzają w niezwykły nastrój umysły, a czem więcej oddala się przeszłość historyczna, tem piękniejsze obrazy tworzy fantazya, tembardziej cierpi rzeczywistość; w rozmaitych tonach brzmią bojanowe struny, pieśni całej odrębnej szkoły wieszczów poruszają sercem narodu i przeszłość zmartwychwstaje w apoteozie, poza którą kryje się o wiele niższa rzeczywistość. A gdy cały zastęp czcicieli Ukrainy powtarzał za nieśmiertelnym Bohdanem: „Boże daj mi Ukrainę w niebie“ — już tam lotnego suhaka nie było, tak, iż chcąc mu się przypatrzyć i poznać go bliżej, musimy go szukać po tatarskich stepach, gdy zaś tam trudno do niego się zbliżyć, szukamy go po ogrodach zoologicznych Europy.

Wrażenie, jakie odniosłem z widoku suhaków, utrzymywanych w niewoli, było dla mnie dość przykre. Antylopy te bynajmniej nie robią uroczego wrażenia, jakiem się odznaczają pokrewne im gatunki stepów azyatyckich, a szczególnie afrykańskich. Z pewnością natchniony spiewak fantastycznego Wschodu nie miał nigdy na myśli tego gatunku gazeli i z pewnością podobne do niego dziewice nie mogłyby zbyt osłodzić wiernym pobytu w niebie Mahometa. Nie wiem, czy niewola i zmienione warunki bytu przyćmiły piękność i blask oka u suhaka, czy też w oku tem nigdy nie było owego czaru piękna, dla którego „literalnie“ utrzymywano niegdyś w Egipcie t. z. nubijską antylopę *(Addax nasomaculatus)* i której zresztą dość niezgrabne jak na antylopę kształty umieszczano dość często na pomnikach. Rozsądzić tego nie mogę, nie mając sposobności oglądania suhaka w stanie wolności na rodzimych jego stepach.

Mimo wygód, jakimi starają się otaczać w ogrodach zoologicznych te zwierzęta, nie smakuje im jakoś niewola, a tęskne oko i płacze i mgłą się okrywa i jakieś przykre budzi wspomnienia. Są na świecie organizmy, nie stworzone wcale do jarzma niewoli; z łona natury w łańcuchu rozwojowym wywołały je wieki nie dla człowieka, dla nich samych, dla stepów, na których się jeszcze i dziś pasą; *sint ut sunt, aut non sunt*, zdaje się być ich prawem. To też w obec zaludnienia i kulturnych zmian, pomykają suhaki, kwagi, dauwy, zebry i wiele innych w coraz to dalsze ustronia, aż wreszcie ginie całe ich plemię, ale ginie nie poddawszy się aż do końca pętom niewoli.

Suhaki, które widziałem, były mniej więcej wielkości daniela, w ciele dość niezgrabne i niekształtne, z wyniosłym kłębem, głową nieproporcyonalnie wielką, z nosem zgrubiałym, garbatym i niezwykle ruchliwym, o rożkach łukowato ku środkowi zgiętych i ostro zakończonych. Całość przedstawia się nadzwyczaj nieestetycznie, a niespokojne i ostro łamane linie kształtów robią jakieś dzikie, prawdziwie tatarskie wrażenie.

Plemiona koczownicze środkowej Azyi polują na suhaki dla mięsa i skóry, a polowanie to według opowiadań podróżników, niema być tak trudne, jakby się zdawało wobec ogromnej chyżości, czujności i płochliwości suhaka. W jaskrawem słońcu nie dopisuje wzrok suhaka, to też porę tę wybierają do łowów, podsuwając się z bronią pod stada, albo praktykują tu sposobu używanego przez bardzo wiele dzikich ludów, który polega na przebraniu się myśliwego w skórę suhaka, zdjętą wraz z rożkami i podsuwaniu się w tem okryciu na czworakach. Nawet z lekka postrzelony zwierz ten ustaje w biegu, słabnie i wpada w ręce myśliwego. Podobnie jak sarny, nie ocenia suhak dobrze właściwego niebezpieczeństwa i jak to podróżnicy po obecnej ojczyźnie suhaka opowiadają, dostaje się żywcem nieraz w ręce człowieka, zabłąkawszy się pomiędzy stada swojskich kóz lub owiec. Jakkolwiek nie można wierzyć wszystkiemu, co nam podają o życiu egzotycznych zwierząt, to ostatni ten szczegół wydaje mi się bardzo prawdopodobnym. Czy to jakiś niezmierny pociąg do towarzyskości, czy też inne popędy, zapanowujące chwilowo nad tak potężnym zmysłem samozachowawczym, każą owym ostrożnym zwierzętom zapominać o wszystkiem i stają się przyczyną ciekawych objawów. Podobne słabostki dzikich praszczurów naszych zwierząt domowych musiał częstokroć wyzyskiwać człowiek, i niezawodnie odegrały one ważną rolę w historyi udomowienia i wytwarzaniu się ras.

W r. 1885 w jesieni pojawił się ogromnych rozmiarów odyniec w lesie Jasionowskim (pow. Rudecki). Po kilkakroć jeszcze na czarnej stopie widziała go straż lasowa, a na pierwszym listopadowym śnieżku mogłem osobiście sprawdzić obecność tego niezwykłych rozmiarów zwierza. Powabny, bo jak to mówią, wielkości wołu trop jego, nie dawał spokoju. W dzień leżał odyniec w niedostępnej gąszczy młodego zapustu świerkowego, nocą zaś żerował w pobliskiej partyi lasu dębowego na żołędzi, która w tym roku dość obficie zarodziła. Zdawało się, iż nic łatwiejszego, jak dostać go na tym ograniczonym terenie, na którym go utrzymywały czasowe wygódki. A jednak ten pozorny sybaryta, zmiarkowawszy co się święci, umiał szczęśliwie wywijać się długo wszelkim sposobom łowieckim. Ruszony przez naganiacza, unosił się w stronę, w którą, jak pamięć miejscowych myśliwych sięga, nigdy dziki nie uchodziły, to znów podchodził przed obławą pod linię strzelców, ale trzymał się zawsze w takiem oddaleniu, iż o strzale nie było mowy, wreszcie zwracał się na obławę i pozostawał w miocie wśród gąszczy, gdzie i na 10 kroków od myśliwego był zupełnie bezpieczny. Widziałem go sam może z dziesięć razy, widzieli go inni, a zawsze strzał był niemożliwy. Z ulubionego miotu po 4—5 razowej gońbie nie dawał się wyruszyć. Spróbowaliśmy wreszcie szczuć go psami, obstawiwszy jak najskrupulatniej myśliwymi wszelkie przesmyki. Nie rozporządzałem taką ilością psów odpowiednich, aby osadzenie tej miary dzika było możliwem, chodziło jedynie o wyruszenie go z zakazanych gęstwin, w których był absolutnie nieprzystępnym. Dwa dosyć cięte i na dzikach nieco zaprawione kundysy zdawały się ku temu wystarczać. I w samej rzeczy wystarczyły, bo wkrótce po założeniu, odezwały się ucinane naszczekiwania kundysów, oczywisty znak, że spotkały się ze zwierzem. Stałem na najświeższym tropie tuż pod gęstwiną, w pogotowiu do strzału, gdyż tuj-tuj mógł zwierz z gęstwiny wyskoczyć. Naszczekiwania zdawały się przybliżać i głuchy

szelest i trzask dochodził wytężonego ucha. Wreszcie znów się wszystko oddaliło i ujrzałem o jakie 150 kroków pomykającego dzika zrębem w miejscu, którędy dziki nigdy nie chadzały. Szedł on jak lokomotywa, a darły za nim jak szatany rozżarte kundysy. Poszedł bez strzału i uniósł się do sąsiedniej kniei Tuligłowskiej, a zmordowane psy powróciły we dwie godziny nie odniósłszy zresztą żadnego szwanku, bo trzymały się dość z daleka. Widocznie jednak dzik nie bardzo się przeraził tym w każdy sposób nieprzyjemnym epizodem, bo już tego samego dnia w nocy żerował żołądź w dawniejszem miejscu, a na drugi dzień wieczorem dał się zagnać razem z pasącą się tam trzodą nierogacizny na koszarę wśród lasu, skąd go pastuchy z ciężką biedą batogami wygnali, gdy natrętne zalecanki przeszły powoli w jakiś rodzaj rozżarcia, zostawiającego dotkliwe ślady na skórach obojętnych zresztą na hymenowe sprawy loszek domowych. Nieubłagana konieczność wprowadziła całe stado przytoczonych swojskich żołędziojadów bez różnicy płci za rychło w odwieczny ruch krążenia materyi, aby się mogły ujawnić skutki odświeżenia krwi — a co się dalej stało z owym odyńcem, to już tutaj do rzeczy nie należy; dla uratowania jedynie honoru myśliwskiego dodam, iż skóra jego długo przypominać mi jeszcze będzie szereg żmudnych, nieproduktywnych a przyjemnych myśliwskich zawodów.

Po tym dziwnym epizodzie, mającym tylko poprzeć twierdzenie, że czasem i najpłochliwsza zwierzyna jest nadzwyczaj nieostrożną — wracam do suhaka.

Wątpię, aby kiedykolwiek, gdy jeszcze suhak przebywał na ziemi naszej, polowano na niego umyślnie z ptakiem, pomimo iż kunszt ten stał tak wysoko w Polsce, a w szczególności na Ukrainie. Tam przyroda kraju i bezustanna styczność z narodami azyatyckich stepów, owymi od wieków mistrzami w tym kierunku, umożebniła szczególniejszy rozwój sokolnictwa, które utrzymało się aż do późnych czasów, gdy na zachodzie ulepszona broń palna i wszechwładna moda już dawno sport ów romantyczny do upadku doprowadziły. Gdyby polowali w ten sposób na suhaki panowie, to z pewnością cośby się z tego bodaj w tradycyi utrzymało, ludziom zaś uboższym, którzy zdobyć się mogli na utrzymanie bodaj jakiegoś „krogulaszka“, było chyba nieprzystępne polowanie z ułożonym orłem, który jedynie mógłby pokonać tak wielkie zwierze czworonożne, a z którym polują na sarny, wilki, lisy i zające Kirgizi i inne plemiona w stepach Azyi środkowej.

Miały tu miejsce niegdyś prawdziwe sokolnicze epopeje, o których rozmiarach pierwszy doniósł w 13-stym stuleciu Marco Polo, jeden z pierwszych Europejczyków na ziemi podówczas zupełnie nieznanej, od którego się dopiero geografia rozpoczyna. Według relacyi wspomnianego podróżnika na dworze hana Chiwy utrzymywano 10.000 sokolników, a splendor takich łowów przewyższał najśmielsze obrazy imaginacyi.

Że i u nas był zwyczaj układania orłów (prawdopodopnie zyzów) do łowów na zwierzęta czworonożne, to nie ulega najmniejszej wątpliwości; były to te same ptaki, które Kirgizi birkutami zowią. O takich zapewne mówi Krescentyn w rozdziale o „Orlech“.

„Orzeł może być od ludzi ukroczon i ogłaskan, gdy młody z gniazda wyjęty... iż ten będzie gonił ptaki wielkie, a zwłaszcza zające i sarny, abo leśne koski“. Przez „leśne koski“ rozumie tu autor niezawodnie daniele, które jak to już wspomniałem, także kozami dzikimi nazywano, a niema osobnej wzmianki o suhaku, co również wskazuje, iż zwierz ten, dość częsty w ukraińskiej poezyi, rzadkim był na stepie, jeżeli autor wymieniający w 16-ym wieku zwierzęta leśne, które według jego zdania orzeł ułowić może, nie mówi nic o stepowym suhaku. Natomiast wielki nasz specyalista w sokolnictwie ś. p. Wodzicki powiada, iż „orzeł przedni w stepach nawet tak chyżego suhaka zwalczał“ (Orły polskie str. 105). Prawdopodobnie były to owe orły, które łowczy Montrezor hetmanowi Branickiemu do łowów na dropie układał, (O łowach, korespondencya z Cieplic r. 1841 „Przyjaciel ludu“ 207. i „Przewodnik myśliwski“ L. Siemieńskiego 1848.), a których dostarczać mu miała jedynie skała Ladawy nad Dniestrem. Miały to być ptaki, jak mówi kronika hetmana, o zupełnie białem opierzeniu.

W krótkiem tem zestawieniu, które bynajmniej nie może sobie rościć nazwy historyczno-przyrodniczego szkicu o pobycie suhaka na naszych ziemiach, starałem się o ile mogłem zawrzeć wszystko, co tylko w dziejach łowiectwa mogło mieć jaką łączność z tajemniczą tą zwierzyną i wyświecić cokolwiek mglistą historyę pobytu jej na ziemiach naszych. Wszystkie jednak podania, jakie odszukać mogłem w tym względzie, a przypuszczam, iż jest to tylko mała część tego, coby się o suhaku odszukać dało, są tak ogólnikowe i niejasne, iż zdawać się może, jakoby suhak już wtenczas, gdy o nim wspominano, żył tylko w tradycyi. Bardzo ogólnikowe opisy zwierzęcia tego u naszych dawnych przyrodników wyglądają jakby czerpane z jednego zawsze źródła, a nigdzie nie można się spotkać z opisem, z któregoby poznać można, iż autor kreślił go z natury.

I myśliwskie wspomnienia o suhaku są niemniej urywkowe i w utartych powtarzane zwrotach; nie mogą nam one dać jakiego takiego wyobrażenia o przyrodzie i pobycie tego zwierza we wschodnich dzielnicach Rzeczypospolitej. Czy suhak był gniazdowym u nas zwierzem, jak daleko rozciągały się jego siedliska, a wreszcie kiedy zatracił się czy też umknął z naszych kresów — są to pytania, na które wątpię, aby stanowcza znalazła się odpowiedź.

Logiczny wniosek co do pobytu suhaka na naszych ziemiach, jaki postawiłem w niniejszej pracy i na jaki zdobyć się mogłem, korzystając z materyałów dość mglistej natury, może stanie się bodźcem do kontrowersyi i da mi sposobność zmiany zdania i zbliżenia się bardziej ku prawdzie na mocy ściślejszych badań źródłowych, które ziemianinowi w bardzo tylko skromnych rozmiarach są możliwe, gdyż oprócz chęci, potrzeba na to wiele czasu, a księgozbiorów i archiwów pod ręką. Z tego wszystkiego jedynie tylko pierwszy warunek posiadałem w dostatecznej mierze — resztę oby dostarczyło koło światłych czytelników, którym dzieje łowiectwa naszego nie są rzeczą obojętną.

Rozmaitego rodzaju materyały realnej wartości, jakie się w naszem łowieckiem społeczeństwie kryją, bądź w tradycyi, bądź w dawnych zapiskach rodzinnych, dyaryuszach, kronikach domowych itp., wyniesione na widownię publiczną, możeby przyczyniły się wiele do wzbogacenia dość ciemnej w tem miejscu karty łowiectwa krajowego i wyświecenia przyrody zwierza, będącego rarytasem już nie Polski, ale całej Europy w czasach historycznych.

Podczas gdy u naszych przyrodników jakie takie znajdują się o suhaku podania, obcokrajowi albo nie mieli żadnego o tem zwierzęciu wyobrażenia, albo spotykamy tam niezgodne lub wprost fałszywe wiadomości. Słynny Blumenbach w swym w r. 1825 wydanym *Handbuch der Naturgeschichte* zdaje się nic o suhaku nie wiedzieć, wspominając tylko o kozicy jako jedynej antylopie europejskiej. Brehm, znając dokładnie suhaka, jak to z jego opisu sądzić można, przypisuje mu niewłaściwe siedliska, Thomé w swej

zoologii wie najdokładniej, iż obecne siedliska suhaka Węgier sięgają, a po nad stajenką suhaków w zoologicznym ogrodzie Wrocławskim sterczał do niedawna, prawdopodobnie według podań Brehma z redagowany napis: „*Antilope Sajga*“ — *Vaterland Polen bis Altai*. I przypatrywało się temu napisowi mnóstwo profesorów i doktorów, cała armia kulturtregerów w tym zgermanizowanym ongi grodzie Piastów, a napis sterczał niezmieniony, pomimo, że już nie tyle lokalne badania uczonych, ile cała armia ziomków, ta armia Michlów, Franzlów, Fritzów itp. którzy ponieśli w gonitwie za chlebem daleko na wschód swe lary, obsiadając dawniejsze sadyby naszych Zaporożców, mogła dać bardzo wystarczające w tym względzie wyjaśnienia.

Bo gdzież ich tam wszędzie niema, tych skrzętnych synów Germanii? Są wszędzie wśród dawnych siedlisk naszego suhaka. Na ongi „Dzikich polach“ rozsiadły się bardzo liczne kolonie, pług zaorał już dawno zgliszcza kresowych zameczków, skromnych co do rozmiarów a wielkich co do swogo posłannictwa i postępuje coraz dalej to narzędzie pokoju prując step czarny, step tylekroć zlany krwią naszą, którego użytek kulturny fatum dziejowe w inne oddało ręce. (C. d. n)

Na czem się kończy oswajanie zwierząt.

Z utrapień miłośnika przyrody.

Od młodości miałem pasyę oswajania dzikich zwierząt. Zacząłem od ptaków, oswajałem niektóre czworonożne i skończyłem jak zacząłem, znowu na latawcach. Po wielu wszakże próbach i doświadczeniach, nabrałem przekonania, że to owoc zakazany, po który sięgać się nie godzi i każdemu śmiało tego odradzam, jeżeli nie chce doznać smutnych rozczarowań.

Z drobnych naszych spiewaków, żaden na prawdę oswoić się nie da. Twarda to i harda dusza tych małych istot. Życzę im wszakże powodzenia w wojnie parlamentarnej, a panu deputowanemu Salvadoriemu, by swych sieci używał do nakrywania winogron.

Z pomiędzy wielu przepiórek miałem tylko jednego samczyka, który prawdziwie był oswojonym. Wychowałem go z małego pisklęcia; biegał wolno po izbach, przychodził na zawołanie, brał podawane jadło z ręki, a nawet wybiegał na dwór, skąd czemprędzej wracał do pomieszkania. Przepióra tego nie byłbym oddał za nic w świecie. Cieszyłem się nim prawie trzy lata — to bardzo długo! Wreszcie robiono porządki w domu i rozdeptano go, czy przesuwaniem sprzętów zmiażdżono mego ulubieńca.

Miałem także kruka. Ten się bardzo łatwo oswoił, latał światami, lecz powracał do domu; zawsze był przy dobrym apetycie, snać nie umiał na wolności znaleść dla siebie pożywienia. Po każdej takiej wycieczce był natrętnym dla każdego, dopominając się o jedzenie. Kruka tego miałem półtora roku, wreszcie — utopił się w beczce z wodą.

Najzabawniejszą i najłatwiej oswajającą się jest ciekawa sroka. Jest to jednak psotnik i złodziej w całem słowa tego znaczeniu i dokuczy domownikom.

Moja „kizia“ tysiące pociech mi sprawiała, lecz że ją domownicy niecierpieli, więc ciągle pędzono ją z pomieszkania. Stale też przesiadywać musiała na dworze dniem i nocą, a do pomieszkania wchodziła tylko z przybyciem mojem do domu. Wiedziała dobrze o tem, że wtenczas gonić jej na dwór nie będę, to też prawie nigdy nie wszedłem do pomieszkania bez niej. Gdym się tylko pokazał przed domem, zjawiała się sroka, ciesząc się mn bardzo, siadała mi na ramieniu, na głowie, w rękę jednak nigdy ująć się nie dała. Zabawnem było, że gdy tylko miałem gdzie jechać, jak tylko konie zaszły przed ganek, „kizia“ zjawiała się, a wziąwszy w posiadanie siedzenie na wózku, oczekiwała mego wyjścia, i towarzyszyła mi, to lecąc to siadając na konia lub na wózek. Nieraz dzień cały przepędzała zemną w oddaleniu od domu. Tak się do jazdy przyzwyczaiła, że mając gdzie dalej jechać, wprowadzałem „kizię“ do pomieszkania, a wypuszczano ją dopiero po moim wyjeździe. Obcych koni i wózka nigdy się nie czepiała.

Raz nadjechała fura siwymi końmi, a takiej maści były i moje konie; furą tą wieziono drzewo do wapniarki. Czepiła się jej sroka i poleciała Niedaleko wapniarki wyprzedziła znacznie konie, i usiadła na złożonem tam drzewie. Chłop zajęty paleniem wapna, palnął kamieniem i zabił moją „kizię“. Bawiła mię prawie dwa lata.

Z czworonożnych miałem oswojoną wiewiórkę, lisa i sarny. Z sarnami tyle zawodu i przykrych zdarzeń doświadczałem, że najrychlej wyrzekłem się tej przyjemności.

Przed kilku laty odwiedzałem kuzyna mego, rotmistrza stacyonowanego w Tarnopolu. Zastałem go w poobiednej drzemce, a na nim, w kółko zwinięty, naśladował swego pana lis. Był to bardzo ułaskawiony, doskonale wychodowany, nie zwykłej wielkości mykita, który mnie bardzo zaintrygował. Dawał się głaskać, a nawet robiło mu to przyjemność; posłuszny, przychodził na zawołanie, a nie proszony wskakiwał na łóżko; był to prawdziwie piękny pokojowiec, któregom zazdrościł rotmistrzowi. Żałuję wszakże bardzo, że go przyjąłem, bo nie miałem pociechy z niego, a rotmistrza pozbawiłem prawdziwej przyjemności. Lis ten nazywał się „Miss“ i miał przeszło 2 lata.

Podróż kilkunastu-milową przebył jaknajspokojniej, że jednak mieszkam wśród lasów, nie dowierzałem mykicie, zwłaszcza, że nie był oswojony z miejscowością i domownikami, a że nie bardzo porządku przestrzegał, trzymałem go w stajni. Do pomieszkania wprowadzano go tylko podczas mojej obecności w domu, z czego „Miss“ był bardzo rad, wskakiwał zaraz na łóżko, a najchętniej leżał u mnie na kolanach i przyzwyczaił się do mnie bardzo. Z wyżłem zapoznał się prędko, jednak nigdy się nie zbratali. Przed kundysami trzeba go było pilnować i to mnie spowodowało, że trzymałem go w stajni na łańcuszku z obawy, by go kundle od domu nie odstraszyły, nim go nie uznają za domowego. Trudno to jednak przychodziło. Parę razy, jakimś sposobem „Miss“ uwolnił się z łańcuszka i wyszedł na dziedziniec, kundysy go nagoniły i „Miss“ uciekł w las. Dwa razy drugiego dnia spotkałem go sam kręcącego się nie

opodal domu i zabrałem z sobą. Zauważyłem jednak, że mykita dziczeje, kusi go las, niepokoją kundle.

Po kilkomiesięcznym pobycie lisa u mnie, postanowiłem odesłać go rotmistrzowi, gdyż nie obiecywałem sobie mieć w nim towarzysza wiernego, a przykro mi było, żem rotmistrza pozbawił przyjemności. Postarałem się tedy o pewną furmankę dla mykity, a tymczasem w przededniu wymarszu, mykita drapnął do lasu. Chodziłem po lesie — szukałem wołając Miss! Miss! — daremnie — jak niema tak niema. Czasami widywano go w lesie, a nawet koło domu, ująć się jednak nie dał, aż wreszcie zaginął słych o mykicie na to wszakże, ażeby mu wkrótce dać rozgłos niezwykły.

Sprytny „Miss“, obznajomiony z domem, ku wielkiemu utrapieniu mojej cioci, zabrał wszystkie kury, powtarzam wszystkie, gdyż ani jednej nie zostawił, a było ich sporo. Przy ostatnich dwóch kaczkach, które naraz za szyje pozbierał, ściągnął go chłopak kijem; wówczas kaczki puścił lecz jedna z nich już nie żyła, a druga nosiła dwa dni na bakier głowę nim zginęła.

Od tej pory mykity nikt nie widział, ja jednak długo słuchałem kazania:

— Oto masz lisa chowanego! Trzeba kupić jaj, daj pieniędzy! Tak to zawsze bywa, komu mrzonek się zachciewa. Nie dość masz psów, że trudno wykarmić, trzeba ci jeszcze lisa było... Kazałam kupić żydówce 20 kur, będziesz widział co to kosztuje, i do tego trzeba je będzie trzymać w zamknięciu i karmić, bo wypuścić nie można, a bez kury koło domu obejść się nie podobna...

Codzień nasłuchałem się kazań a zawsze na ten sam temat. Gotów byłem już nakupić kur, ale jak na skaranie, trudno i trudno było doczekać się żydówki z tym transportem. Wreszcie zjawiła się oczekiwana z kurami — ba! lecz te „nie były takie jak tamte, same proste, paskudne, chude, co to cały rok wypadnie je karmić, nim co z nich będzie, i to jeszcze pytanie“...

Oj Miss! Miss! Rad jestem, żeś sobie poszedł, i bodajbyś już nigdy nie wracał! Nie chcę już więcej lisa!

Przed czterma laty w miesiącu sierpniu przejeżdżałem przez Pr., wioskę położoną w obwodzie Tarnopolskim. We wsi, niedaleko od karczmy, obserwuję gromadkę gęsi -- same białe, a na niewielkim wzgórku, niedaleko od tej gromady, dwie gęsi siwe. Na pierwszy rzut oka poznałem, że są kształtami całkiem odmienne od białych, ale ażeby to mogły być dzikie, nie chciałem wierzyć. Przejeżdżałem koło nich o jakie 20 kroków, do dzikich całkiem podobne — ale czy to być może?

Konie moje były daleką jazdą zmęczone, należał im się odpoczynek. Stanąłem tedy koło karczmy, a nie złażąc z wózka, obserwuję ciągle owe dwie gęsi, które mnie tak zaintrygowały.

Po chwili wychodzi arendarz z karczmy, a pozdrowiwszy mnie „dzieńdobrym“, zagadnął:

— Nu, czemu pan ne zajecha na pidsinie? tu można popasty, jest żołob dla koni, duże dobre...

Podziękowałem mu za uprzejmość, tłumacząc, że mi tu bardzo dobrze, a dla koni na obrok mam „bałamut“. Żyd zagadnął mnie jeszcze to o tem, to o owem, rad był wiedzieć skąd i dokąd jadę. ale nim otrzymał odpowiedź, zapytałem go:

— Co to za gęsi na pagórku?

— Nu, to dykie.

— Jak to dykie?

— Nu, taki dykie, pan ne wiery?

— A po cóż one tu przyleciały? Skąd?

— Woni latają po cały świt i nazad przychodzują, bo woni z małego ułaskaweny, woni już tu drugi rok i zawsze je.

„Latają po cały świt i przychodzują“ — tak mnie to zaintrygowało, że kilka minut zostawiłem żyda bez zapytań. Wreszcie pytam go.

— A czyjeż te gęsi?

— A tu tegi pan, co tu w te chaty siedzi, zaraz jak te gęsi je.

— A on by ich nie sprzedał?

— Ałe de! Tu jakiś pan iz Tarnopola dawał jemu 20 ryńskich, taj win jemu nie chciał sprzedawać. Win chce, ałe wona nie chce.

Jak „wona nie chce“, to źle — pomyślałem sobie, ale bądź co bądź postanowiłem dobijać się o te gęsi.

„Latają po cały świt i nazad przychodzują“ ciągle mi w uszach brzmiało.

Muszę tu na chwilkę odstąpić od mego opowiadania i przyznać się, że jestem wielkim zwolennikiem polowań na stawach i błotach, i gdziekolwiek w przejeździe staw zobaczę, opanowuje mnie dziwne wrażenie. Jeżelim kiedy w mojem życiu komu czego zazdrościł, to tylko polowania na stawach i błotach.

I niedziw! Najpiękniejszą moją młodość spędziłem w okolicy Podwołoczysk, stolicy stawów podolskich. Tam też pierwszy raz wziąłem się do rusznicy i w kunszcie tym się tam doskonaliłem.

Św. Hubercie! Jakież to były czasy! Dość, gdy powiem, że panami polowań na licznych stawach, ciągnących się milami wzdłuż granicy rysyjskiej, było nas dwóch zapalonych myśliwych z dodatkiem niezbędnym — ś. p. grecko kat. proboszcz ks. Łukaszewicz, ja, i chłop Jurko Trojanowski, doskonały wioślarz, strzelec, a nawet myśliwy. Prócz tej trójki, bardzo rzadko zjawił się kto z rusznicą i to tylko na błota, bo czółna były naszą własnością. To też jakie to tam były polowania! Na wodach chmary kaczek i gęsi, na błotach roje kszyków, dubeltów, kulonów, kulików różnego gatunku. Dziś, gdybym te chmary w przebliżeniu chciał liczbami określić, niewątpliwie znaleźliby się tacy, którzyby mnie odesłali z mymi cyframi po premię za najudatniejszy okaz łaciny myśliwskiej. Wolę więc zaniechać cyfr i powtórzę, że na rozległych tych wodach i wśród tych chmar tylko nas trzech polowało. Więcej myśliwych nie było. Przeważna ilość tych stawów należała wówczas do właścicieli, mieszkających pod panowaniem rosyjskiem, to też polowania na nich nikt nie przestrzegał i było ono poniekąd powszechnem dobrem.

Były to inne czasy! Podwołoczyska leżały na samym krańcu „świata, jak to mówią, deskami zabitego“, dokąd nikt nie zdąża — o kolei nikt nie słyszał. O kartę na broń ktoby się był starał? Szkoda było guldena, lepiej go było obrócić na proch i śrut, zwłaszcza, że z tem wielka była trudność, bo po te artykuły trzeba było kilkanaście mil posyłać do Tarnopola, a okazya nie łatwo się trafiała.

Żandarma miesiącami nikt nie widził, a w danym razie o kartę na broń żandarm nie pytał. Z wybudowaniem kolei wszystko się tam zmieniło — brakło miljardów dzikiego ptactwa, ale i mnie już brakło.

Koleją wjechała cywilizacya na stawy i błota podwołoczyskie, wjechał ten smok, odbierający wszelkiej zwierzynie warunki bytu. Na szerokich brzegach wód, istnym mateczniku, gdzie bekasy długodzióbe i inne ptactwo błotne najswobodniej się od wieków lęgło, człowiek, przesycony samem sianem, pokopał dziś rowy, wdzierając się nimi aż do zwierciadła wód, powysypywał mnogo miedz granicznych,

a na tych miedzach nasadzał wierzby. I otóż na tych wierzbach lęgną się mściciele miłośnika dzikiej przyrody i polowań błotnych, lęgnie się armia gąsienic, które niszczą sadzoną na owych gruntach rok rocznie kapustę — tak, że nie ma dawniejszych licznych kopic siana, nie ma i bydło przejść się gdzie swobodnie, a w końcu nie ma i kapusty w nagrodę za pracę, podejmowaną rok rocznie około lichego dziś gruntu.

Dawniej za owych czasów, było nas tam trzech myśliwych, nie ograniczonych panów wszystkich tych polowań — a dziś... ot! albo nie-myśliwi, albo Nimrodzi z rodziny Balsambaumów, albo ich znajomi z lwowskich Wałów — którzy przyjeżdżają „sznelcugiem“ i na dzieńdobry biją kaczkom salwy na stawach w Podwołoczyskach.

Aż się dusza raduje na myśl, ile by to prawdziwych myśliwych mogło dziś mieć wspólną rozrywkę — ale niestety, era dziczyzny minęła tam już bezpowrotnie.

Od czasu do czasu dowiadywałem się, jak też tam polowania? I co rok, to o gorszych rezultatach mi donoszono, a przed trzema czy czterma laty pisano mi „że jest jeszcze kilka krzyżówek, które się tam utrzymują, ale te już tak zmądrzały, że ich żaden z licznych myśliwych nie . gągnie“, bo trzymają się zawsze na otwartej wodzie i do oczeretów nie głupie się zbliżyć“. Czy to nie cywilizacya nawet w kaczym rodzie?!

Mając w sobie wiecznie tlejące zamiłowanie do stawów, utworzyłem przed ośmiu laty mały, bo tylko około $^1/_2$ morgowy stawek obok domu. Stawek ten zarybiłem i mam ryb podostatkiem, a prócz tego nie ma jesieni, by się nań nie zabłąkało parę kaczek, i już nie jednego „kudubla“ palnąłem.

...Urwawszy tedy rozmowę z żydem, myślałem sobie: Ach, gdyby to te gęsi „latające po cały świt“ na mój stawek przylatywały! I znowu wzmogła się we mnie żądza, aby popróbować szczęścia, czy mi się nie uda tych dziwnych gęsi nabyć.

Nie używając żyda do interesu, wyruszyłem sam w odwidziny do p. N., właściciela gęsi. Idąc po drodze ułożyłem plan mych odwidzin, ale na wspomnienie „wona nie chce“ odwaga mnie odbiegała i cała trudność przedsięwzięcia stawała mi przed oczyma.

W sieniach doleciał mnie brzęk talerzy, łyżek i widelców, a po brzęku poznałem, że już jest po obiedzie. Tem lepiej — nie głodni — na dobry humor trafię.

Otwieram drzwi. Pani domu z stosem talerzy uchodziła pospiesznym krokiem do drugiej izby, a pan dom ocierał gębę.

Pozdrowiłem gospodarza, przedstawiłem się i przepraszam, że ośmielam się go deranżować, a na usprawiedliwienie podaję, że mając po świecie bardzo dużo znajomych, kolegów jego, i lubiąc zawierać nowe znajomości, korzystam z popasu w przejeździe i wstępuję do niego.

Pan gospodarz, znać po sutym obiedzie, bo ciężko stając z krzesła, wypowiedział słów parę w dowód zadowolenia z mych odwiedzin, żałował że to już po obiedzie, ale... może się tam jeszcze... Nie dałem mu dokończyć, podziękowałem najgrzeczniej, dodając, że w karczmie kazałem sobie ugotować kilka jaj na twardo, napiłem się piwa i jestem jak bąk najedzony.

Gospodarz wskazał mi krzesło, sam zajął obok drugie, i zaczęliśmy pogadankę poobiednią, notabene ja z próżnosieńkim żołądkiem i z małą nadzieją pożywienia się, bo odchodząc zapomniałem powiedzieć żydowi, by mi kilka „na twardo“ ugotował.

Rozmawiamy kilkanaście minut, a czas ten strasznie mi się długim wydaje. Pani domu nie widać — czuję brak wielki.

Kilkoletnia dziewczynka zjawiła się w progu do drugiego pokoju. Powitałem panieneczkę.

— Ziuniu, chodź-że, przywitaj się z panem, tak nie ładnie— ozwał się gospodarz.

Postąpiliśmy na przeciw siebie, podałem rękę panieneczce, ładnemu dzieciakowi, i żałowałem, że do Tarnopola a nie stamtąd zdążam, gdyż byłbym zajechał z kieszeniami pełnymi cukierków. Obiecałem przy sposobności naprawić to złe.

Wtoczyło się drugie maleństwo a za niem i pani domu, blondyna słusznego wzrostu, urodziwa kobieta. Powstałem na przywitanie i skłoniłem się jak najukładniej. Pan gospodarz, przedstawiając mnie zapomniał moje nazwisko, wyręczyłem go w tem spiesznie i zajęliśmy miejsca. Prowadzimy rozmowę dość długo; unoszę się nad doprawdy ładnymi dzieciakami, podziwiam pięknie utrzymane kwiaty, świadczące o starannej ręce pani domu, prawię grzeczności na jakie mnie stać, i jestem w „najlepszym sztosie“, a wtem przychodzi mi na myśl żydowskie „wona nie chce“ i odbiera mi odwagę.

Siedzimy tedy i rozmawiamy, jużby mi czas i jechać, konie moje jeszcze nigdy tak długo nie odpoczywały, a kilka „na twardo“ i szklanka piwa bardzo by mi się przydały.

Wtem słyszę szum skrzydeł i „ger, ger“... ozwały się gęsi w sieniach. Taki „latają po całym świti“ pomyślałem sobie.

— Anielciu, twoje gęsi już upominają się o jedzenie — rzekł gospodarz do żony.

Oj, Anielciu! żebyś ty mnie dała te gęsi! pomyślałem sobie, a w tem przeklęte „wona nie chce“ po kościach mi przeleciało.

— Jakie to mądre te gęsi, że tak o swoje się upominają — wtrąciłem.

— A mądre, bo to dzikie -- odrzekł gospodarz.

— Co, dzikie?

— Tak jest, dzikie.

— A skąd-że państwo je macie i że tak ułaskawione?

Pani się wydaliła, a pan gospodarz opowiadał mi, że przeszłego roku połapano je maciupkimi, że są bardzo oswojone, ale znają tylko żonę i od niej pożywienie z ręki przyjmują, od nikogo więcej. Wtem pani, otwierając drzwi do sieni, mówi do mnie:

— Niech się pan przekona, jakie one łaskawe! — I w samej rzeczy podaną karmę z ręki brały.

Przypatrzywszy się gęsiom, wróciliśmy do pokoju. Pan gospodarz kontynując mówi, że było ich troje, ale jedno na wiosnę chłopi kijem na wsi zabili i to gęsiora, a pozostałe są gęsi, i że je ten sam koniec czeka, bo wszędzie latają i ktoś zabije.

— W samej rzeczy, jeżeli już jedno zabili, to może i te los ten sam spotkać, a jaka by to była szkoda! — odpowiedziałem.

— Ale tak jest, a wie pan, można było je doskonale sprzedać, bo to z tego nic nie ma, a jeden pan z Tarnopola przysyłał i przyjeżdżał sam i dawał za nie 20 reńskich. Nie szkodaż-to, ża się nie sprzedało? Ale to moja żona tak zamiłowana w tych gęsiach, a wiem, że lada dzień przepadną, bo je ktoś zabije.

— No, no czekaj — przerwała żona — jeszcze on przyszle i sprzedam.

„Wona chce“ pomyślałem sobie, nabierając pewności, że gęsi będą moje.

— To pani decyduje się te gęsi sprzedać?

— Bo wie pan, w samej rzeczy chłopiska kiedy zabiją; tu przed oczyma, a nieraz nie dają im spokoju.

— A za jaką kwotę, czy za 20 reńskich?

— Ta, żeby się tylko zgłosił, wezmę 20 reńskich. Szkoda, żem pierwej nie wzięła. Ja wiem, że one z Tarnopola nieraz by tu przyleciały, to bym się z nimi pobawiła. Albo to one stąd do Tarnopola nie latały? Ręczę, że nawet dalej, nieraz i cały dzień ich niema, a wieczór zawsze przylecą.

— Jeżeli pani decyduje się za 20 reńskich te gęsi sprzedać — rzeknę — to sądzę, że na tem zależeć nie będzie, kto za nie zapłaci. Otóż ja jestem kupcem.

Nastąpiła chwilka wahania — ja tymczasem sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem dwie dziesiątki i dziękuję pani i zbiegowi okoliczności, że tak szczęśliwie trafiłem. Podano mi rękę na zgodę i gęsi kupiłem.

Pogawędziwszy jeszcze chwilkę poszedłem do karczmy. Ot — „wona chciała“ pomyślałem sobie. Kazałem zaprządz konie, podjechałem, zabrałem gęsi na wózek, które już w sieniach były połapane. Podziękowałem jeszcze raz, pocałowałem ładne dzieciaki i puściłem się w dalszą drogę. Gęsi po drodze karmiłem z ręki i dobrze do domu zajechały.

W niedzielę pojechałem do kościoła i po mszy św. posunąłem na plebanię, na raz na zawsze w ten dzień proszony obiadek u ks. kanonika. Ks. kanonik, kapłan najzacniejszego charakteru i niezrównanej poczciwości, a przytem zamiłowany myśliwy, geolog i naturalista, człowiek ogólnie poważany i kochany, przyjął mnie jak zwykle z otwartymi ramionami. Na wstępie powiedziałem mu o moim nowym nabytku, a opowiadanie to dostarczyło nam materyału do długiej rozmowy.

Ks. kanonik ciekaw był bardzo zobaczyć to gęsi „z całego świtu“, bo przypuszczał, że mnie może oszukano i miasto dzikich domowe sprzedano gęsi. To też już drugiego dnia rano był u mnie, i na pierwszy rzut oka poznał, że dzikie, podziwiał ich ułaskawienie, radził przytem nie prędko rozwiązać im skrzydła, by nie drapły w „świt“. Obiecywaliśmy sobie, że kiedy są tak ułaskawione, to na wiosnę z swojskim gąsiorem parować się będą, radzi bardzo oglądać ich potomstwo.

Potrzymałem je dni kilka ze związanymi skrzydłami i uwolniłem wreszcie z więzów. Z niepokojem, czy też nie dadzą drapaka w „świt“, obserwowałem je dłuższy czas.

Z pół godziny wachlowały skrzydłami, wreszcie wzleciały. Aż mi się niedobrze zrobiło... Gęgając, wzbiły się w górę, poleciały ponad lasy i straciłem je z oczu. W kilkanaście minut słyszę gęganie i widzę powracające moje gęsi; okrążyły dalekiem kołem kilka razy nową swą siedzibę, nareszcie w ślicznych ewolucyach spuściły się z wysokości i usiadły na stawku. No! pomyślałem z radością, jestem już pewnym moich gęsi, szkoda, że ks. kanonika niema!

Od tej pory latały moje gęsi prawdziwie po całym świecie, lecz wracały zawsze na stawek, a na noc szły do swego kurnika i nigdy na stawie nie nocowały.

Nastała jesień, zaczął się ciąg dzikich gęsi. Ksiądz kanonik doradzał, by moim gąskom powiązać skrzydła, bo gotowa przemódz natura i z odlatującymi gęsiami pójdą w „świt“. Ja jednakże zaufałem im i zostawiłem wolność.

Razu jednego odjechałem na dni kilka z domu. Z powrotem mówią mi, że już jednej gęsi niema, poleciały i powróciła tylko jedna...

Co mi się w tej chwili działo!

Pozostała gęś tęskniła widocznie za swą towarzyszką, bo latała ciągle i wracała niespokojna. Zauważałem, że zawsze w jednym kierunku odlatuje i powraca. Wychodziłem tedy za las, na pole, czy nie doślędzę, gdzie ta gęś zdąża, widziałem ją daleko, daleko lecącą, trudno jednak było dopatrzyć gdzie się spuszcza, zdawało mi się, że gdzieś daleko, daleko za granicą. Kilka dni śledziłem tak moją niespokojną jedynaczkę, która zawsze, a czasem i kilka razy dziennie, jednym i tym samym szlakiem leciała i powracała — ale nadaremnie.

Pewnego razu, gdy jestem w ogrodzie i patrzę za moją gęsią, która wzleciawszy właśnie ze stawku, swoim szlakiem gęgając poleciała — przybliżył się do mnie chłop z sąsiedniej wsi, a pozdrowiwszy mówi:

— Proszu pana, ja złapaw dyku husku, taj meni każut, szczo to panowa.

W pierwszej chwili myślałem, że złapał gęś, która przed chwilą poleciała.

— A kołyż wy złapały?

— Wże bilsze jak tyżdeń.

— Czomuż wy jeji zara ne prynesły?

— Abo ja mih znaty, szczo to panowa.

— A jakże wy ju złapały?

— Ot, rozstawlałem kopy hreczeni w poły, a ich dwi pryłetiło, taj siły meży kopy, taj wziały jisty hreczku, a ja zajszow poza kopu taj hap! i jednu złapawiem a druha połetiła.

— A czomuż wy jeji neńka ne prynesły?

— Bo ja wybraw sia do Skały, taj meni tam skazały, szczo to panowa, taj zara wstupywjem skazaty, szczo je u mene.

— Diakuju wam, a tu majete ryński; ja piślu z wamy chłopcia, szczoby prynis husku.

Rzekłszy to, kazałem się chłopcu zbierać w drogę.

— Ałeż to pane mudryi tyi husy — odezwał się chłop. — Ta druha deń w deń je tam na poły, tak szukaje tuju, szczo ja złapaw, i teper jak iszowjem tu do pana, wydiwjem pid lisom, prosto tam połetiła. Chotiwjem ja i tuju złapaty, ałe sia ne dała. Oj, to mudryi husy, hde to naszi! hde! kudy!

— A hde wy tamtu husku trymajete?

— Zamknuwjem ju w chliwci, ałe naj sia pan ne bojat, ne maje ona bidy; jiść wsio, szczo daj, chlib, baraboli, a hreczku duże lubyt, taj ja jeji położyw ciłyj snipok, szczoby jiła, i wodu raz na raz maje.

— No, buwajte zdorowi! Chłopeć ide z wamy, dajte mu husku i diakuju wam.

Nie omieszkałem natychmiast donieść ks. kanonikowi że gęś odszukana, i że o szczegółach opowiem mu w niedzielę. Jednakowo bowiem żałowaliśmy straconej gęsi.

Ciąg dzikich gęsi minął, lecz moje mnie nie opuściły, a nawet nigdy niepewnością nie zastraszały, bo wieczorem zawsze do domu wracały. Obawiałem się wprawdzie, ażeby kto nie strzelił do nich i dlatego wraz z ks. kanonikiem powiadomiliśmy szerokie koło sąsiedzkie, prosząc w razie spotkania o „pardon“ dla naszych gąsek. W polu też ostrożniejszymi były, bo jak mi chłopi opowiadali, nie dały się tak blisko zejść, aby ich kto mógł złapać lub uszkodzić.

Nastała zima. Za poradą ks. kanonika trzymałem gęsi wraz z swojskimi w jednym kurniku, a to dlatego, żeby się zżyły z tamtymi, a osobliwie z gęsiorem, by mieć potomstwo po nich — lecz na nic się to nie przydało, bo zawsze od swojskich gęsi trzymały się na uboczu.

W łagodne dnie zimowe przelatywały się, ale nie daleko i nie na długo. Nastała wiosna i ten sam rozbrat między

gęsiami. Wreszcie gęsi domowe nasiadły gniazda. Byłem pewny, że słomiany wdowiec, nie ostygły w zapałach, zawrze sojusz z dzikimi — lecz gdzie tam! Dumał osowiały na boku, lub szybował po wodzie, stroniąc od dzikich kuzynek.

Minęła wiosna, nastało lato, straciliśmy wreszcie z ks. kanonikiem nadzieję, abyśmy mieli potomstwo, ale radzić nie przestajemy.

Razu jednego, a było to już w jesieni, mówi do mnie ks. kanonik:

— Wie pan co, te gęsi będą się parowały, ale trzeba im siwego gęsiora i ażeby innych gęsi nie było w domu. Mówiła mi pańska ciocia, że nic a nic z waszych gęsi nie było w tym roku. To już niezdałe, nie warto ich trzymać. Najlepiej zabrać gęsi do kojca, utuczyć i porżnąć. Ja mam masę gęsi, dam wam połowę i u mnie będą się dla was chowały, a żydówce powiem i ręczę panu, że przyniesie siwego gęsiora. Jeśli nie dostanie tu, to w Rosyi, i zobaczysz pan, że będziemy mieli młode dzikie mieszańce.

Rada w radę, uchwaliliśmy jednogłośnie: „Precz z swojskimi gęsiami, „bo to do niczego".

Przychodzi mi tu poznajomić czytelnika jeszcze z jedną osobą, chociaż tylko ze zwolenniczką swojskich, a nie dzikich gęsi.

W domu naszym bawi uznania i szacunku godna orędowniczka całego domu i gospodarstwa, kochana nasza ciocia; pomimo, że 60 wiosen swego panieństwa tuż-tuż naliczy, ciocia, jakich mało, o jakiej marzyć; kochająca wszystkich i wszystko, rano, w dzień, w nocy, w spiżarni, w stajni, na strychu, w piwnicy, w ogrodzie, kurniku, wszędzie i zawsze. Cociu kochana! Daj Boże, byśmy Twoim staraniom długie jeszcze lata oddani byli, czego Tobie i sobie z serca życzymy.

Otóż wypadło teraz z ciocią pokonferować, lecz jakoś nie miałem odwagi.

Po pewnym czasie, ks. kanonik, widząc się ze mną, mówi:

— Już kazałem żydówce szukać gąsiora. Będziesz pan widział, jak dobranego gęsiora przyniesie, tylkom jej powiedział, żeby nie był bardzo duży, a siwy bez odmiany. Zaraz powiedziała, że tu nigdzie nie ma, ale w Rosyi dostanie. A cóż? zrobiliście co z swoimi gęsiami?

— Nic jeszcze — rzekłem i postanowiłem szturm do cioci przypuścić.

Jakoż nazajutrz zagadnąłem:

— Wie ciocia co? Tych gęsi naszych nie warto trzymać, ani jednego gąsiątka tego roku nie było.

— No, to nie tylko u nas; popytaj we wsi, nigdzie tego roku gąsiąt nie było, nieraz to tak bywa.

— A ja cioci mówię, że ich już trzymać nie warto, nic z nich nie będzie. Moja rada: wsadzić do kojca, utuczyć i porżnąć, a innych gęsi się dostanie.

— A niech-że Bóg broni! za nic w świecie — zawołała ciocia z indygnacyą — a gdzież tu są takie gęsi? To jest inny gatunek, z krótkimi szyjami, takich tu nikt niema.

— Z krótkimi czy długimi szyjami, jabym te drańcie porżnął i nie karmił daremnie całą zimę.

— No, no, nie troszcz ty się moimi gęsiami — ofuknęła mnie ciocia. — Jeszcze gęś nikogo nie objadła. Alboż to ich tak dużo tych pięcioro? Co jak co, to psów, psów twoich trochę za dużo. Z tymi by trzeba coś zrobić, bo to zima idzie. Każdemu trzeba dać jeść, a tu, gdzie się obróć wszędzie pies, nie nastarczyć dla nich...

— Oho! już psy na tapecie — pomyślałem — trzeba dać spokój.

Znów minęła jedna niedziela i druga, jestem u ks. kanonika.

— A co, mam! mam! — woła ks. kanonik już z daleka — nie poznałbyś pan! Jak rodzony brat! Chodź pan, pokażę gęsiora.

Idziemy. W samej rzeczy siwy gęsior, smukły, nie wielki, dobrany co się zowie.

— No, a gęsi już w kojcu? — pyta ks. kanonik.

— Jeszcze nie — odpowiedziałem.

— Ależ po co trzymać? Z tego nic nie będzie! Gęsiora nie dam, dopóki tamte w kojcu nie będą. Taż to nie warto trzymać przez zimę, a dobre gęsi macie u mnie.

— Niema kojca — mówię, wykłamując się jak można — tak jakoś zapomniałem... Każę tego tygodnia zrobić.

— No, pamiętajcież! Ale prawda, że to szelma żydówka, wszystko dostanie, choćby z pod ziemi. Jakie ona tu mnie kury znosiła! Pi! pi! Sprowadzałem jaja, ale nigdy tak pięknych kur nie miałem, jak od niej. Ta szelma z pod ziemi dostanie.

— A to ta — wtrącam — co za kurę krowę dostała?

— Nie, to inna! I dziś bym dał krowę, żeby mi taką przyniosła. Wyobraź pan sobie, biała jak alabaster z ogromnym czarnym czubem; musiałem jej czub podstrzygać, bo jej oczy nakrywał. Aj, to była śliczna kura, takiej nigdzie nie widziałem.

Po dłuższej pogadance pożegnałem przezacnego ks. kanonika.

— A nie zapomnij pan kazać kojca zrobić, bo gęsiora nie dam, dopóki te do niczego gęsi będą! — wołał jeszcze za mną, gdym odchodził.

W parę dni później odwiedził mnie mój sąsiad pan B. z dubeltówką, sprowadzoną świeżo wprost od Peterlonga.

— A co, panie sąsiedzie — mówi — czym nie dobrze zrobił, żem pana nie usłuchał? Patrz pan, jaką piękną strzelbę sprowadziłem?

— A ile kosztuje?

— Tylko 67 zł. z przyborami: rzemyk, maszynka do robienia nabojów i ten klucz.

Wziąłem strzelbę do ręki.

— Oj, świetne pan kupno zrobiłeś — rzekę — masz pan lufy ołowiane, osada wierzbowa, fabryczna strzelba z pod młota, tania a bardzo droga; za kilka tygodni rozchlapie się panu i kawałek kawałka trzymać się nie będzie. Tamta „wiśniowiecka" wprawdzie przerobiona, ale przerobiona dobrze, ręczna robota, której nigdy nie można równać ze zlepkiem fabrycznym!

— E, pan tylko krytykujesz, a ja panu ręczę, że tak źle nie będzie. Ale wie pan co? jeszcze z niej nie strzelałem — spróbujmy!

— Dobrze, chodźmy! Ustawimy tarczę i będziemy próbowali.

Wróciliśmy do mieszkania, zrobiłem dwa ładunki śrutem nr. 2 i idziemy próbować strzelbę.

— Proszę, niech pan strzela — mówi sąsiad.

— Aha, pan się boisz?

— Nie, ale pan lepiej strzela ode mnie, a to próba.

— Dobrze, będę strzelał.

Stanąłem naprzeciw tarczy, gdy w tem mój gość zauważył:

— Niech pan nie strzela, bo gęsi...

— Ale, co gęsi! Całkiem na boku! Ot, to by trzeba gałgana strzelby dopiero, ażeby mierząc do tarczy, tam gęś zabić.

Tymczasem gęsi moje tak się uszykowały, że aż mnie chętka wzięła. Złożyłem się i — buch!...

— Joj! bój się pan Boga — krzyknął mój gość za plecyma.

Troje gęsi, przewróciwszy się do góry brzuchami, odkazywały nogami; jedna wlecze skrzydłami po ziemi, a piąta jak rajtszulę w kółko biega...

— A niech-że pana bieda porwie! a Peterlonga dyabeł wraz z jego strzelbami! — zawołałem. — A to mi strzelba, w piętę mierzy, w nos uderzy! Oto masz pan fabryczne strzelby! Gdzie tarcza, a gdzie gęsi, i żeby gęsi pobić, a w tarczy ani śrutu!

Sąsiad mój, strasznie skwaszony, nie proponuje już strzelać z drugiej lufy; idziemy do mieszkania. W progu spotykamy ciocię.

— Ciociu kochana! jaki straszny wypadek! Ktoś zapuścił gęsi do ogrodu, strzeliłem do tarczy, no i nieszczęście chciało, gęsi postrzelałem!...

— Co ty mówisz!

— Ależ bo jaki to nieporządek, niedozór, ażeby gęsi wszędzie chodziły, jaka to szkoda, takie śliczne gęsi!...

Słowa te dolatywały ciocię już w połowie drogi do postrzelanych gęsi.

Za chwilę zjawia się ciocia ręce łamiąc:

— Bójcie się Boga, wszystkie gęsi!...

— Co, wszystkie? A to nieszczęście! Może nie wszystkie?

— Ale wszystkie! Trzy nieżywe, jedna ma obie nogi połamane, a gęsior kręci się w koło, krew mu z głowy ciecze...

— Ale może z tego gęsiora jeszcze co będzie? Niech-no ciocia każe go przynieść, to by się gęsi dokupiło. Niech-by był na rozpłodek. To takie ładne gęsi...

Przyniesiono gęsiora. Ogłądnąłem go i orzekłem, że nic z niego nie będzie: oko wystrzelone, z samego mózgu krew idzie, zdechnie lada chwila.

— Weź, zaraz zarżnij — mówię do sługi — bo szkoda, żeby zdechł.

Wytrąciłem sługę za drzwi.

— Zarżnij prędko, bo zdycha, zarżnij zaraz, słyszysz?

Za chwilę słyszę „trzep, trzep“ skrzydłami po sieni, domyśliłem się co to znaczy — już nie ma gęsiora...

Wtem wniosła ciocia gęś z połamanymi nogami. Uradziliśmy jednogłośnie, że trzeba ją zarżnąć, bo nic z niej nie będzie; niech się nie męczy, to grzech...

Wyszła ciocia z gęsią, wtem w sieniach słyszę:

— Oho, już zdechł biedny gęsior!

— Ne zdoch, ja zarizała.

— A ty naszczo zarizała?

— Pan kazały.

— Pan kazały? Oj ty do niczego tłumoku, żeby ty nie doglądnęła gęsi? A co gęsi mają w ogrodzie robić?

Ja tymczasem starałem sie powrócić humor memu sąsiadowi, a że byłem nieźle usposobionym, wszystko dobrze poszło. Zapewniałem go, że strzelba się ostrzela i może bić doskonale, bo pierwsze koty za płoty i strzał pierwszy z rusznicy nic nie wart.

Sąsiad mój słuchał wywodów moich nie bardzo dowierzająco i żałował „Wiśniowieckiej“, a w końcu zarzuciwszy nabytą „Peterlongówkę“ z widoczną niechęcią na plecy, pożegnał się ze mną. Chodził z nią kilka miesięcy, ale absolutnie nic z niej zabić nie mógł, wreszcie sprzedał za 40 zł., a nowonabywca strzelał z niej dobrze, co niezmiernie sąsiada mego dziwiło i powtarzał ciągle z podziwieniem, jak to strzelba się może ostrzelać.

Zrobiwszy taki porządek, zabrałem gęsiora od ks. kanonika. Kilka dni stroniły od niego moje gęsi, ale bez porównania mniej, niż od białych. Gęsior znać zabrany był z hurmy, więc przysuwał się ciągle do dzikich, prześladując je formalnie, i nareszcie ku wielkiemu memu zadowoleniu zawarła ta trójka sojusz nierozerwalny.

Zwyczajem swoim gęsi dzikie codziennie odlatywały. W wycieczce tej gęsior im towarzyszyć nie mógł, bo miał pióra w jednem skrzydle wyrwane, próbował tej sztuki, ale daremnie, przesiadywał więc przez ten czas samotnie na stawku, a sykaniem i wyciągniętą szyją witał powracające gąski.

Nastała zima. Ulokowałam moje gęsi w ciepłym kurniku, odosobnionym od reszty drobiu. W łagodne dnie wypuszczano je na dwór i zawsze wszystko troje razem się trzymały. Doskonała perspektywa, byle wiosna prędko nadeszła.

Lecz pewnego razu, a było to jakoś w miesiącu lutym, raniutko, leżę jeszcze w łóżku, wtem drzwi się szeroko do mego pokoju otwierają i wchodzi ciocia strasznie zdenerwowana.

— Czy spisz?

— Nie, albo co?

— Ta-że wszystek drób z kurnika ukradli.

— A gęsi?

— Wszystkie kury, wszystkie kaczki, ani piórka niema.

— Ale gęsi są?

— Bieda bierz gęsi, zabrał także — ale kury, kury, kaczki. Oto masz naukę! Ja mówiłam napędzić tego Petra, to złodziej — to nikt inny nie ukradł tylko on, to jego sprawka! To złodziej! Jego nikt nie trzymał, aż tu się wpakował. Ja to mówiłam. A kto mnie nie słucha, zawsze tak wychodzi. Mówiłam — mówiłam: Petro złodziej, napędzić go, nie trzymać złodzieja domowego, którego się nikt nie upilnuje! Mówiłam — mówiłam...

Biedna ciocia prawiła bez końca, a ja tymczasem już byłem ubrany. Wychodzę na dwór. Otwieram kurnik — wiatr wieje — gęsi niema, a ciocia zamną ciągle prawi, „to sprawka Petra tego złodzieja, to on skradł, mówiłam, mówiłam“...

Zaczynam śledzić po śniegu i sprawdzam, że złodziej, zabrawszy wszystek drób i gęsi w worek, poszedł z tem na ogród, wprost do płota, gdzie z drugiej strony stało dwóch ludzi, podał tamtym worek i wrócił do stajni. Do płota i na powrót towarzyszyły mu dwa psy domowe. Śnieg z wieczora przetrząsł i ślady były jak wypisane, nabrałem wszelkiej pewności, że nikt inny tylko Petro był sprawcą tej kradzieży. Wołam tedy Petra.

— Gdzie są gęsi?

A ciocia:

— Gdzie kury i kaczki złodzieju?

— Ja proszu pana ne wydiw, żeby mene szlak trafyw, ja niczoho ne znaju. Janko spaw razom ze mnoju, nechaj skaże, czy ja wychodyw w noczy.

— Jeden z was draby ukradł, bo jeden ślad do płota. Chodź szelmo, pokażę ci, że psy razem z tobą chodziły. Do kryminału cię oddam, jak mi zaraz nie powiesz, komuś wydał gęsi?

Petro uparcie trwa w swojem, że nic nie wie.

Wołam Janka, ten mówi, że Petro razem z nim nie spał, że spał pod żłobem, a on spał na łóżku i nie słyszał, czy Petro z stajni w nocy wychodził, bo spał.

Jestem pewny, że Petro skradł, ale znać bity złodziej, nie przyzna się. Ochłonąłem trochę i mówię do niego.

— Wiesz co, oddaj tylko gęsi, nic ci zato nie będzie, daruję ci jeszcze cielę.

— A na rany Chrystusa! — woła ciocia — czy to słyszał kto, złodziejowi jeszcze cielę obiecywać! A to mi się podobało! Ja ci mówię złodzieju, że sto nahajów ci wsypię, jak mi zaraz nie powiesz, gdzieś kury podział? Na moją odpowiedzialność zawołać chłopów i wsypać mu sto kijów, będziesz widział, czy on się pod kijami nie przyzna. Na moją odpowiedzialność, ja to biorę na siebie, ale nie cielę mu obiecywać...

Przerywam cioci i mówię:

— Słuchaj drabie, wybieraj, albo mów dobrowolnie, albo pod kijami powiesz.

— Proszu pana, ta szczo pan wid mene choczut? ja niczoho ne znaju, żeby mene zaślipyło jak ja znaju! Kto zakraw, bodaj ho na mary wynesły!

— No, no, zostaw no go mnie — mówia ciocia — ty z nim nic nie poradzisz. Baran idzie! Baran idzie! Ja z nim sama wezmę się do złodzieja.

Obracam się — i jak na zawołanie widzę zbliżającego się „Postenführera“ żandarmeryi.

— Jaki pan pożądany, panie Baran, dzień dobry panu!— i opowiadam mu całe zajście.

Trutynujemy ślady, sprawdzamy, że but z lewej nogi był bez podkowy; oglądamy buty Petra, ten sam but bez podkowy, mierzymy długość śladu i buta, ten sam wymiar. Wobec tak jawnych dowodów i żandarma, Petro zapierał się ciągle, że nie on.

Dobył p. Baran łańcuszki, kuje Petra i a goerzabi z sobą.

Ale ciocia odzywa się:

— Jak pan jemu wsypie, to on wszystko wyspiewa.

— Już ja wiem, co z nim zrobić — mówi Baran — niech się państwo nie troszczą, wszystko jeszcze dziś będzie.

Byłem pewnym, że pan Baran, wyprowadziwszy Petra w las, tam go trochę poszturka i dowie się całej prawdy. Ale Baranowi energia zmiękła odkąd się ożenił, (tak tu powszechnie twierdzą) — zabrał tedy Petra do kasarni, spisał „protokoł“, podał wszystkie dowody zebrane na miejscu czynu, dowodząc, że Petro sprawcą tej kradzieży i z tym cyrografem oddał Petra do sądu. Z sądu dostałem za kilka dni pisemne zawiadomienie, że „niema podstawy ścigania Petra i dla braku dowodów uwalnia się go od oskarzenia“.

I tak przepadły moje gęsi ku wielkiemu memu i ks. kanonika utrapieniu. Straciliśmy nadzieję potomstwa i całe zamiłowanie oswajania dzikich zwierząt. Nie chcę już nawet wydry, o której ciągle marzyłem. *Ago.*

Polowanie z wyżłem na ptaki.

Z własnych doświadczeń

podał

Seweryn Kisielewski.

IV.

Na cietrzewie.

Cietrzew pada kiedy niekiedy przed nagonką przy sposobności polowania na inną zwierzynę, ale z reguły poluje się nań — przynajmniej w naszym kraju — tylko na toku, w porze wiosennej. Nie dlatego wszakże polujemy na cietrzewie na toku, iżby wyżły nasze ustępowały w sile wiatru wyżłom innych krajów i cietrzewia zwietrzyć nie mogły, lecz jedynie z tego powodu, iż ptak ten stał się u nas tak rzadkim, że nie wielu znajdzie się myśliwych, którzy mieli sposobność widzieć go w kniei, ci zaś, co go widzieli i przed wyżłem doń strzelali, należą do wybrańców losu czasów dawniejszych, kiedy cietrzew był u nas znacznie gęściejszy.

Jakie były powody, że cietrzewie w niektórych miejscach pozostały już tylko w tradycyi, nie jestem w stanie orzec; najprawdopodobniej dewastacya lasów sprowadziła zupełną ich zagubę. Trudno bowiem przypuścić, aby sami myśliwi zdołali wybić je do nogi, gdyż ptaki te, przebywające przeważnie w gąszczach leśnych a przytem niezmiernie płoche i nadzwyczaj ostrożne, tak są trudnymi do podejścia, że strzał do nich zawsze bywał nie łatwym.

Dziś można przejechać wielki szmat kraju, nim się natrafi na okolicę, gdzie cietrzewie, acz niezmiernie zdziesiątkowane, utrzymują się jeszcze jakimś cudem przy życiu i wymagają szczególniejszej pieczołowitości, jeśli nie mają być wykreślone z szeregu zwierząt łownych naszego kraju. A byłaby wielka szkoda, bo pominąwszy już, że to ptak najozdobniejszy ze wszystkich naszych rodzimych ptaków łownych i dla myśliwego wielce ponętny, jest on także jako dziczyzna nie do pogardzenia.

Do tych szczęśliwców, którzy polowali częściej z wyżłem na cietrzewie, nie mogę się niestety zaliczyć, gdyż tylko dwa razy w życiu mojem polowałem na nie i strzelałem przed wyżłem. Nic też dziwnego, że nie wiele mam do powiedzenia o właściwościach cietrzewia w czasie polowania nań przy pomocy wyżła. Tego zaś, co cietrzew wyprawia na toku, opisywać nie będę, ponieważ są to rzeczy znane i nie należą do zakresu polowań z wyżłem. Przy polowaniu na toku, ograniczony jest wyżeł — jeżeli go się w ogóle bierze — na siedzenie w budce obok myśliwego. Wolno mu wówczas myrdać ogonem i delektować się widokiem niby oszalałego cietrzewia, a w końcu, jeśli dobrze pójdzie, aportować ubitego koguta. Lecz i do aportowania nie jest wyżeł myśliwemu niezbędnie potrzebny, gdyż cietrzew nie tokuje nigdy na

bagnach, ale na suchych, otwartych i prawie zawsze z brzegu lasu położonych polanach, gdzie tak tokującego, jakoteż zabitego koguta widzieć można jak na talerzu. Potrzebnym może się okazać wyżeł tylko w tym jedynym wypadku, jeżeli strzelony i trafiony kogut nie zostanie na miejscu, lecz jeszcze trochę odleciawszy, zapadnie w krzaki, gdzie go pies odszukać powinien.

Z tych powodów nie radzę zabierać ze sobą wyżła do takiego rodzaju polowania, szczególnie wtedy, jeśli nie jest dość karny i tak utresowany, iżby na skinienie palcem był posłuszny. Źle wychowany wyżeł, obaczywszy cietrzewia, nie wytrzyma spokojnie, lecz albo z budki się wysunie, albo też przez myśliwego przytrzymany, spłoszy skowytem ptaka, który dopiero co szlifować zaczyna.

Inaczej rzecz się ma na polowaniu na cietrzewie, gdzie wyżeł, jako szukający i wystawiający, występuje w czynnej roli. Nie potrzebuje on tu wprawdzie ani szczególniejszego ułożenia, ani zbytniej przebiegłości, ale zawsze musi umieć szukać i jako tako wystawiać.

Cietrzew, wyszedłszy z głębi lasu w przybrzeżne krzaki, lub na przypierającą do lasu łąkę choćby rzadko krzakami porosłą, skoro zobaczy niebezpieczeństwo, kryje się pod krzak, lub zaszywa w kępkę zeschłej trawy i dosiaduje tak twardo, iż na kilka kroków zbliżyć się doń można. Napierany przez wyżła, nie uchodzi piechotą — przynajmniej ja tego nigdy nie widziałem — lecz porywa się z miejsca z mocnym szelestem skrzydeł i wydaje ze siebie najprawdopodobniej wykrzyk przestrachu: „Ko-ko-ko!“ poczem podnosi się tak szybko do góry, iż chybiwszy raz, potrzeba jak najspieszniej poprawić, aby go jeszcze dosięgnąć, bo za chwilę widać go już, jak płynie po nad wierzchołkami najwyższych drzew, dając o sobie znać szumem, wywołanym mocnymi uderzeniami skrzydeł. Ów mocny szelest skrzydeł jak i wykrzyk „ko-ko-ko!“ wydaje zarówno kogut jak i kura.

Podrywając się, nie podlatuje cietrzew do góry w kierunku prostopadłym, lecz zawsze ukośnie, mniej więcej pod kątem 45 stopni, ale przytem podnosi się w górę tak szybko, iż za małą chwilę już go śrutem dosięgnąć nie podobna. Wzniosłszy się wysoko, leci następnie w kierunku poziomym przy tak spokojnem, miarowem uderzaniu skrzydeł, że się wydaje, jakoby płynął a nie leciał.

W przekonaniu, że zaatakowany przez psa cietrzew przysiada pod krzakiem, lub czai się w trawie i dalej już nie ucieka pieszo, utwierdza mię okoliczność, że wyżeł nie ściąga doń nigdy czas dłuższy, lecz staje od razu, lub co najwięcej zamarkuje raz lub dwa, a potem wystawia na pewno i pierwszym skokiem płoszy go z miejsca, gdzie go zwietrzył.

Najbardziej charakterystyczną u cietrzewia jest ta okoliczność, że w głębi lasów jest nadzwyczaj ostrożny i za lada szelestem zaraz odlatuje, a wyszedłszy w krzaki z brzegu lasu położone lub na łąki do lasów przypierające, uznaje za lepsze ukryć się pod krzakiem, lub zaszyć się w trawy i chwasty. A nie można przypisać tej zmiany taktyki wypierzeniu i trudności wzlotu, gdyż spostrzeżenie to zrobiłem właśnie w jesieni.

Nabrałem niemniej przekonania, że ptak ten potrzebuje do zabicia ostrego strzału i znacznie grubszego śrutu, niż słonka albo kuropatwa. Wypadkowo padnie cietrzew także od słonczego śrutu, ale przeważnie, nawet w tym wypadku, gdy zostanie zdublowany, nie pada, tylko znaczy, że dostał i leci dalej.

Poniżej opisany fakt może poprze powyższe twierdzenie.

W roku 1884 polowałem w jesiennej dobie na słonki na bełzkich łąkach, porosłych krzakami i ciągnących się wzdłuż lasów do Bełza i Tehlowa należących. Będąc przygotowanym na spotkanie się wyłącznie tylko ze słonkami lub kuropatwami, miałem w obu lufach ładunki słonczego śrutu. W jednem miejscu na czystem polu, zamarkował wyżeł raz jeden i przystanął, poczem postąpił kilka kroków dalej i stanął już na pewno. Zbliżywszy się do miejsca gdzie stał, zająłem stanowisko naprzeciw niego i zacząłem badać okiem miejsce, ku któremu wyżeł pompę miał skierowaną. Nie zoczywszy nic, tylko nieco większą kępkę zeschłej trawy, przypuszczałem, że tam będą kuropatwy; przygotowawszy się więc należycie, wydałem psu rozkaz: „Bierz!“ Wyżeł skoczył i przypadłszy do wspomnionej kępki, wypłoszył stamtąd cietrzewia.

Oszołomiony widokiem ptaka, którego się tam wcale nie spodziewałem, żachnąłem się nieco z nadmiaru wzruszenia i potrzebowałem chwilę czasu do opanowania emocyi, w skutek czego ptak, podnosząc się coraz wyżej w górę, odlatywał spokojnie. Skoro wszakże rozpoznałem, że ptakiem tym jest cietrzew i to kogut, złożyłem się bezzwłocznie i strzeliłem na odległość trzydziestu kroków.

Po strzale zaczął cietrzew spadać, ale będąc już nieledwie na metr od ziemi, przemógł osłabienie i podniósł się ponownie do tej samej wysokości co poprzednio. Strzeliłem zatem drugi raz, a cietrzew naznaczywszy najwyraźniej, że drugi strzał był także celny, zniżył się po raz drugi i już, już się wydawało, iż padnie na ziemię. Tymczasem i teraz, acz z wielkim wysiłkiem, podniósł się jeszcze raz w górę i zwróciwszy się ku lasowi, znikł mi wkrótce z oczu. Żem po tych dwu niefortunnych strzałach przeklinał wszystkich fabrykantów drobnego śrutu, żaden z szanownych panów myśliwych dziwić się temu nie będzie.

Lot cietrzewia odznacza się miarowem machaniem skrzydeł, jest równy i spokojny, idący prosto w pewnym jakimś kierunku, skutkiem czego, gdyby nie szybkie podnoszenie się do góry, byłby ten ptak do strzału bardzo łatwy. Ale ze względu na prędkie odlatywanie z miejsca porwania się, może tylko strzelec, mający dostateczną wprawę w szybkiem składaniu się, dojść częściej do ubicia cietrzewia. Kto więc wybiera się na cietrzewie z wyżłem, powinien umieć szybko się składać i dobrze mierzyć. (C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Nowe Miasto 8. maja 1892 r.

(Przygody z lisami).

Jako przyczynek do artykułu p. Wład. Spausty „W n o r z e c z y n a d w o r z e?“, przesyłam opis wypadku, którego byłem świadkiem w lutym roku 1888-go.

Jadąc ranną godziną gościńcem rządowym ze Sierakowiec do Przemyśla, spostrzegłem w Nehrybce, w odległości jakich 300 kroków od drogi, zwierzę oryginalnych kształtów. Nie mogąc w mgle porannej poznać, coby to było, a zaciekawiony nadzwyczaj dziwacznymi kształtami tego stworzenia

które, nie opuszczając miejsca, poruszało się jednak bez przerwy — skręciłem z gościńca ku niemu i podjechawszy sankami na jakie 100 kroków, poznałem, że są to dwa lisy, zajęte w ten sam sposób jak owe, które p. Spausta podpatrzył. Lisy pozwoliły przybliżyć mi się tak dalece, że zdjąłem ze sani futro i usiłowałem je nakryć, jednakowoż w tej chwili rozłączyły się i umknęły. Nie zdawały się jednak zbytnio przestraszone owem intermezzo, bo nie przeszkodziło im to, w odległości kilku zaledwie zagonów odemnie, zająć się pilnem załatwianiem pewnych toaletowych formalności. Mimo, że miałem strzelbę w saniach, wstrzymać się musiałem od niewątpliwej dublety, gdyż działo się to na obcem terytoryum.

Drugi oryginalny wypadek z lisem, wydarzył mi się w Hruszatycach, majętności p. Włodz. Youngi i w tegoż obecności.

Zaproszony d. 31. sierpnia z. r. do Hruszatyc przez p. Youngę na dziki, udałem się tamże. Po kilku nieudanych miotach, jak zwykle w lecie, powracaliśmy z gospodarzem ku oczekującemu nas na leśnej drodze wózkowi. Ja szedłem przodem rozmawiając, wtem furman siedzący na wózku, ukazuje coś biczyskiem w krzakach i mówi, że lis już od kwadransa chodzi w około wózka i mimo trzaskania z bata nie umyka. Pobiegłem naprzód i rzeczywiście ujrzałem lisa, siedzącego w odległości co najwięcej 15 kroków od wózka. Strzeliłem do niego dwa razy kulami, którymi mój drilling był nabity, jednakowoż chybiłem go. Lis, zupełnie nie przestraszony, pobiegł kilka kroków dalej i począł mi się ciekawie przypatrywać. Nie chciałem oczom wierzyć, ale trzecia kula, która położyła kres jego życiu, przekonała mnie, że nie śnię. Był to lis zupełnie wyrośnięty i jak z powierzchowności sądzić można było, zdrów zupełnie na ciele; co zaś do stanu umysłowego, to nie wiem, czy i u lisów zdarzają się półgłówki, tego jednakowoż mocno o to podejrzywałem. *Al. Przedrzymirski.*

Z pod Brodów w maju 1892.

(Zaprosiny na słonki przez charciarza. — Z toku cietrzewi).

Było to pierwszych dni kwietnia, kiedy już słonki u nas t. j. w okolicach Brodów zaczęły ciągnąć. Jeszcze nie jeździłem na nie, alem się wybierał wieczorem popróbować szczęścia, kiedy odbieram zrana długi telegram od myśliwego-charciarza, że słonki ogromnie ciągną i że konie będą czekały na mnie w Złoczowie o godz. 6-ej po południu. Jako doświadczony myśliwy wiedziałem, że ciąg zawsze pierwej zaczyna się na dołach a potem na górach — ale że słonki często robią niespodzianki, a że tu koło mnie już było sucho i śnieg stopniał, myślałem, że i na Woroniakach u mego przyjaciela tak samo. Jadę więc do Złoczowa a stamtąd na wózek i dalej w góry. Trudno opisać tę moją podróż — dość, że małą milę jechałem cztery godziny, konie topiłem, musiałem po pas leźć do wody i iść większą połowę drogi pieszo. Nakoniec koło dziesiątej dojechałem. Gospodarz uradowany, ja także, ale nim jeszcze dał wódki, już krzyczy: „Dawaj ekonoma!“ I mówi: „No, rozpowiadaj, ileś słonek widział?“ „Wielmożny pan kazał pilnować — odpowiada ekonom — to też pilnowałem. Słyszę, za chałupą świszczą, przychodzę — i widzę jak po dwie po trzy z gruszy na gruszę przelatują... Jest — jest dużo słonek!“

Nic nie powiedziałem, ale pomyślałem, że już więcej na słonki charciarza nie dam się złapać.

Słonki dopiero w jakie pięć dni nadciągnęły. Zabiłem tylko 4 i kiedy musiałem wyjechać, dopiero zaczął się dobry ciąg, na dołach zaś ciągu już nie było.

Tok cietrzewi przepadł dla mnie w tym roku w skutek silnej grypy czy influenzy. W tej chwili odbieram list, że w Kłodnem i w Wólce Mazowieckiej u księcia Jana Sapiehy zabito 12 kogutów i że tok był prześliczny. Tokowało więcej niż sto cietrzewi. Polowano ostatnich dni kwietnia przez tydzień. *Marceli hr. Tyszkiewicz.*

Kolbuszowa, w maju 1892.

(Ciekawość i sztuka pływania zajęcy).

Zdaje mi się, że się nie omylę, gdy powiem, iż każdemu myśliwemu, który często polował z wyżłem na ptaki, albo na zające, nie będzie obcą okoliczność, że zając, szczególnie w roli, skoro spostrzeże wyżła, dosiaduje bardzo twardo, tak, iż na pięć kroków zbliżyć się doń można, a on wytrzeszczywszy bałuchy, leży jak nie żywy i ani myśli ruszać. I to niezawodnie wiedzieć będą szanowni koledzy, że gdy pies jest jeszcze daleko i przeskakując ze skiby na skibę, sprawia szmer, to zając tym szmerem zaniepokojony, podnosi się w kotlinie na nogi, lecz zobaczywszy psa, przywarowuje natychmiast. O tem wszystkiem wiecie bez wątpienia, szanowni bracia w św. Hubercie, ale ja nie wiem, czy wam wiadomo, dlaczego zając tak postępuje? Nie wiecie? No, to i ja nie wiem, ale mam ochotę twierdzić, że zając czyni to z ciekawości i zaraz się wam z tego wytłumaczę.

W roku 1878 byłem w Olchowcu nad Dniestrem. Jednego dnia po południu przyszedł do mnie chłop tamtejszy i mówi, że już przez kilka wieczorów widział zająca, wychodzącego z jaru, w pobliżu Dniestru tuż za wsią.

Wysłuchawszy tego raportu, wziąłem strzelbę i wyżła, z którym nie rozłączałem się prawie nigdy i poszedłem za chłopem. Gdy mi chłop wskazał jar w mowie będący, podszedłem bliżej i kazałem psu czekać u wejścia do jaru, sam zaś, wylazłszy na stromy brzeg, poszedłem wyżej do góry. Jar, lubo dość głęboki, nie był jednak długi, tak, iż stanąwszy w pośrodku, mogłem na wszystkie strony wygodnie strzelać. Kiwnąłem wtedy ręką na psa i stałem spokojnie z palcem na cynglu.

Zaledwie pies wszedł w jar, zaznaczył zaraz sygnałem, że już czuje zająca, ale nie stawał, tylko chodząc po uboczy, ściągał to tu, to tam i usuwał przy tej sposobności małe kamyki, które spadając na dół, sprawiały dość głośny szmer. Tak idąc, przeszedł pies jar już do połowy, nie wyszukawszy zająca i spojrzał na mnie. Kiwnąłem ponownie ręką wskazując, aby zeszedł na dół. Gdy pies szukał na dole, a ja rzucałem okiem na wszystkie strony, spostrzegłem, że zając, leżący pod formalnym dachem kamiennym o dziesięć kroków poniżej mnie, wystawił najsamprzód prawy słuch, następnie z wielką ostrożnością wychylił głowę i patrzył za psem, a potem ukrył się znowu. Trwało to tak krótką chwilę, iż nie miałem czasu złożyć się, lecz wiedząc już, gdzie zając siedzi, przygotowałem się i czekałem spokojnie, co dalej będzie. Pies tymczasem przeszedł cały jar i wdrapawszy się na ubocz po tej stronie jaru, gdzie stałem, zbliżał się do mnie. Z umysłu skinąłem po raz trzeci na niego, aby zeszedł na dół, a za chwilę zobaczyłem to samo widowisko. Z prawym słuchem wytkniętym naprzód, a lewym położonym po sobie, wychylił się zając z kotliny po raz drugi. Strzeliłem wtedy — a zając potoczył się na dół.

Przyznaję, żem strzelił nie po myśliwsku, ale chcąc ciekawego zająca koniecznie oglądnąć, nie mogłem się wstrzy-

mać z obawy, abym go w biegu nie chybił. Zając był jeszcze młody i z tego powodu chodził na nocleg w jedno miejsce; bo że zające młode w jednem i tem samem miejscu przez dłuższy czas na spoczynek się układają, to rzecz także znana.

Jeżeli zatem zgodzisz się łaskawy czytelniku z mojem zdaniem, iż wychylanie się zająca z kotliny pochodziło z ciekawości, aby obaczyć, czyli pies już się oddala, czy nie, to będzie mi miło, żem wpadł na trafny domysł, a jeżeli zechcesz robić inne hypotezy i zapuszczać się w labirynt domniemywań, to czyń według upodobania, a ja tymczasem przejdę do opowiadania o mistrzowskiej sztuce pływania zajęcy.

W tym samym roku, o ile sobie przypominam, może w tydzień po opisanem zdarzeniu, oznajmił mi inny chłop, że widział przy księżycu dwa zające w ogrodzie skarbowym. Poszedłem więc, aby je wyszukać.

Rzeczywiście wyskoczył jeden zając z pod płotu i padł w miejscu, trafiony dobrze na połeć. Ledwie dym uniósł mi się z przed oczu, zobaczyłem, że wyskoczył drugi szarak i uchodził nieco ukośnie odemnie. Posłałem i za nim strzał z drugiej lufy, lecz, jak przypuszczam, musiałem go chybić, ponieważ nie spostrzegłem żadnej zmiany ani w ruchach, ani w biegu, prócz tego tylko, że zaczął porządnie „kipić“ i przebiegłszy ogród w poprzek, znikł między chwastami, rosnącymi koło drugiego płotu, okalającego ogród. Za chwilę potem usłyszałem za płotem na drodze wołanie: „Zając, zając!“. Więc wiedziałem już, że się wymknął z ogrodu.

Przywoławszy chłopaka, kazałem zanieść zabitego zająca do domu, sam zaś wyszedłem z ogrodu na drogę i spytałem stojącego tam chłopa, czy nie widział zająca? Rzekł mi, że zając, wydostawszy się dziurą z ogrodu, przebiegł drogę, przesadził rów po drugiej stronie drogi i wpadł do ogrodu, przypierającego do koszar c. k. straży skarbowej. Przelazłem tedy przez rów i zaraz na wstępie spostrzegłem, że zając już ruszył, a czesząc wzdłuż płotu z pagórka na dół, przebiegł obok koszar i wbiegł do kwiatowego ogródka, położonego przed domem.

Jeden z członków straży miał kastrowanego wyżła od parady, który będąc przypadkowo na dworze, zoczył zająca i rzucił się na niego, ale go nie złapał, bo był ociężały. Zając zaś, wymknąwszy się furtką z ogródka, pogonił prosto do Dniestru, oddalonego od koszar na 60 do 80 kroków. Dopadłszy do wody, mimo, iż szerokość Dniestru w tem miejscu wynosi 300 do 400 kroków, rzucił się śmiało w nurty rzeki i popłynął na drugą stronę, zostawiwszy na brzegu psa, głoszącego rozpaczliwie swoją głupotę i niedołęstwo.

Wyszedłszy z ogrodu przed koszary, zobaczyłem płynącego zająca już na drugiej połowie rzeki i muszę przyznać, że płynął z nadzwyczajną lekkością i tak rączo, iż sądzę, że gdyby przyszło do turnieju pływania, z pewnością nie dałby się zwyciężyć owemu zajęczemu „Schwimmeistrowi“, o którym wspomina kronika w drugim numerze „Łowca“ z roku bieżącego. Bo co jak co, nie wątpię ani chwili, że i pod innymi względami żleby na tem niemieckie kopyry wyszły, gdyby im przyszło toczyć turniej z polskimi szarakami.

Oprócz wyżej wspomnionego zająca, widziałem jeszcze dwa razy, jak zając przepływał przez Zbrucz, ale za każdym razem gonił pies za nim. Przypuszczam, że w tym wypadku były to zające, które przechodziły w zimie często przez lód, więc w chwili okropnego przestrachu nie wahały się rzucić do wody, byle uniknąć na przeciwną stronę i ujść pogoni. Boć przecież o tem, że zając umie wrócić do miejsca, gdzie mu dobrze było, wiedzą ludzie już także od dawna.

W przekonaniu, że zając bawi się w „Schwimmeistra“ tylko w pobliżu rzek, utwierdza mię jeszcze jeden fakt, mianowicie, iż widziałem, jak chłopski kundys, goniąc za zającem, przypędził go do stawu, a mimo, iż go prawie chwytał, przecież nie skoczył zając do wody, tylko z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo, zmienił kierunek biegu i pogonił wzdłuż stawu, a potem na pole.

Seweryn Kisielewski.

KRONIKA.

Do galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego przystąpili następujący nowi członkowie:

Bieniecki Aleksander.	Hr. Gołuchowski Józef.
Dobek Józef.	Łomżyński Stanisław.
Hr. Gołuchowski Adam.	Treter Wiktor.

Wydział Towarzystwa rybackiego w Krakowie uchwalił rozpocząć starania o założenie krajowej szkoły rybackiej, połączonej z zakładem sztucznej hodowli ryb. Do wydatków na utrzymanie szkoły miałyby się przyczyniać Towarzystwo rybackie, oba krajowe Towarzystwa gospodarskie, kraj i skarb państwa.

Przeciw wydrze, jako szkodnicy wód rybnych, występują w niektórych krajach bardzo energicznie. W Belgii ubito w roku ubiegłym 369 wyder, a znaczna ta liczba tłumaczy się tem, iż rząd za każdą schwytaną czy ubitą wydrę płaci 10 franków nagrody. Od 9. lipca 1889, tj. od dnia, w którym ustawa o premiach za ubicie wydry zaczęła obowiązywać, padło po koniec r. 1891 951 sztuk tego zwierzęcia.

W Szwajcaryi w kantonie St Gallen zaprowadzono wędrowne kursa, pouczające o sposobach chwytania wydry.

W Siedmiogrodzie, w mieście Nagyruyed, przewrócił się skutkiem wezbrania wody po gwałtownej tuczy, wóz bawiącej tam menażeryi z klatką, gdzie się znajdowały trzy lamparty, jeden jaguar i kilka małp. Pewna kobieta została przez jedno z dzikich zwierząt skaleczoną niebezpiecznie. W pościgu żandarmi zastrzelili trzy lamparty; inne zwierzęta schwytano żywcem. Jeden z żandarmów odniósł lekką ranę.

Przyswajanie zwierząt amerykańskich faunie europejskiej i odwrotnie, jest ciągłym przedmiotem zabiegów między chodowcami. P. Lengerke w Nowym Yorku, który położył zasługi około aklimatyzacyi bażanta i naszej kuropatwy w Ameryce, sądzi, że na odwrót dałaby się środkowej Europie przyswoić z łatwością przepiórka wirginijska, zwana po angielsku *Bob white*, i rodzaj głuszca czy cietrzewia, zwanego *Ruffed grouse*. Kurak ten jest wytrzymałym na znaczne stopnie mrozu, a żywi się rozmaitego rodzaju jagodami, nasionami, pączkami drzew, żołędzią itp. Umie się on wybornie chronić, jest ostrożny i bardzo trudny do strzału. O ile jednak przepiórki, znoszące bardzo łatwo niewolę, da się w lada kojcu transportować, transport wspomnianego rodzaju głuszca, nie dającego się nawet przez krótki czas w zamknięciu utrzymać, przedstawia trudności, niepodobne do przezwyciężenia.

O oswajaniu dropi (*Otis tarda*), podaje ciekawe szczegóły bar. Hugo Laminet w czasopiśmie dolnoaustryackiego Towarzystwa myśliwskiego: „Próbowałem nieraz — pisze on — dać kurom wysiadać jaja dropi, lecz się to nie udawało, gdyż pisklęta, które są zrazu bardzo wątłe, nie można było mimo najstaranniejszej opieki, przy życiu utrzymać. Całkiem młode dropie, chwytane ze stadek, także ginęły wkrótce w niewoli, zapadając na nogi. Ale dropie, mające już 6 do 8-u tygodni, jakie się nieraz przy końcu żniw zdarzy schwycić, które już dobrze biegają, choć nie są jeszcze zdolne do lotu, dadzą się bardzo łatwo wychować i ułaskawić. Zrazu bywają niesłychanie dzikie i przez kilka dni z rzędu nie chcą przyjmować pożywienia, tak, że trzeba je pięć do sześciu razy dziennie jak drób na tuczenie napychać, dając im duże kawałki jajecznika (Eierkuchen), sałatę i liście kapusty. Po trzech lub czterech dniach biorą jednak same żywność z ręki i przyzwyczajają się wkrótce do szukania jadła. Wzmiankowaną żywność podaje im się przez dwa do trzech tygodni, poczem przyzwyczaja się je zwolna do zaparzanego jęczmienia śrótowanego i zieleniny. I w ciągu zimy należy dropiom dawać raz lub dwa razy tygodniowo świeżą, zieloną karmę. Na wiosnę, skoro się chrabąszcze majowe pokażą, można im takowe na żer dawać, ile się tylko uzbiera. Na zimno nie są dropie tkliwe i dlatego należy je i w zimie na dworze trzymać, a trzeba im wówczas jedynie zacisznego i suchego kąta na nocleg. Chodując dropie w ten sposób, utrzymywał brat mój dziesięć sztuk dropi obłaskawionych przez sześć lat. Były one należycie wyrośnięte, bardzo ładnie upierzone, wesołe i nie chorowały nigdy. Przed kilku laty postrzelił mój brat dropia, koguta, a że miał on tylko skrzydła uszkodzone, wzięto go żywcem do domu i wyleczono w ciągu czterech tygodni. Ptak ów stał się nadzwyczaj łaskawym i przez pięć lat trzymano go w domu. Każdemu miłośnikowi ptactwa można więc oswajanie dropi zalecić, są to bowiem ptaki bardzo sprytne, a obserwowanie ich sposobu życia i zwyczajów sprawia wiele przyjemności".

W Bośni, a mianowicie w obwodzie trawnickim, ubito w ciągu roku 1891-go 19 niedźwiedzi, 46 starych wilków i 28 młodych wilcząt.

W Norwegii, wedle zestawień urzędowych, padło w r. 1889-ym 862 łosi, a w r. 1890-ym 1142 łosi, między tem 639 byków i 503 klemp. Liczba łosi ubitych w roku ubiegłym jest mniej więcej taka sama, jeśli nie większa. Największy rogacz, którego w roku ubiegłym ubito, miał rosochy o 36 końcach.

Pstrągarnię na wielką skalę i wylęgalnię do sztucznego rozmnażania zarybku wszelkich gatunków ryb, założył w ostatnich czasach ichtyolog p. Michał Girdwoyn w pobliżu Wilna, w dobrach Wakka, należących do hr. Jana Tyszkiewicza. Także w dobrach ordynacyi nieswiezkiej ks. Antoniego Radziwiłła zaprowadza p. Girdwoyn wielkie gospodarstwo rybne.

Król włoski Humbert jest, jak wiadomo, zamiłowanym myśliwym. Gdy bawi w Monzy, widzieć go można nieraz jak sam jeden, w towarzystwie wyżła, buszuje po polach z strzelbą na ramieniu. Otóż zdarzyło się ostatniego sezonu, że gdy król, idąc przez pola, strzelił do zająca, padł równocześnie drugi strzał i wkrótce pokazał się chłop z dymiącą jeszcze strzelbą na ramieniu. „To ja go zabiłem" rzekł wieśniak, zaprzeczając zdobyczy królowi, którego w prostej kurtce myśliwskiej nie poznał. „Nie, mój drogi, on do mnie należy" — odparł król. I wszczął się spór o własność myśliwską, zakończony wreszcie tem, że król przytroczył zająca do torby.

Wróciwszy do zamku i oddawszy szaraka do kuchni, polecił król, aby wyszukano i pokazano mu nabój. Wkrótce przyniesiono mu kilka wyjętych z zająca ziarnek sarniaka, którym królewska strzelba nie była wcale nabitą. Pokazało się przeto, że biedny szarak legł od chłopskiego strzału. Król Humbert polecił tedy szczęśliwego myśliwca wedle udzielonego rysopisu jak najprędzej wyszukać i przyprowadzić. „Istotnie tyś ubił zająca — rzekł król wystraszonemu wieśniakowi — ale ci go oddać nie mogę bo jest już upieczonym. Nie pozostaje więc nic innego, tylko musisz zostać na wieczerzy i zjesz go z nami". Biedny chłop szedł do stołu królewskiego jak na ścięcie i tak był łaskawością króla zakłopotany, że nie wiedział zapewne nic a nic, jaki smak miała ubita przez niego zwierzyna.

Do bieguna północnego wyruszyła dnia 26. marca b. r. z Londynu nowa wyprawa. Na czele jej stoi kapitan marynarki angielskiej Jerzy Sontham. Podług planu nakreślonego przez londyński oddział międzynarodowego Towarzystwa arktycznego, udał się kapitan Sontham lądem do Petersburga, a stamtąd do Syberyi i dotarłszy do najbardziej na północ wysuniętego przylądka Teluszkin, leżącego pod 78-ym stopniem półn. szer., wsiądzie tam na mający go czekiwać w tych okolicach niewielki, lecz nadzwyczaj mocno zbudowany parowiec „Stella". Załoga „Stelli" składa się tylko z 14 osób. Żywności, węgla i leków zabrano na lat dwa, tyle bowiem czasu podług wszelkiego prawdopodobieństwa potrwa wyprawa. Jadąc do Petersburga, zabrał kapitan Sontham ze sobą dwóch towarzyszy, swego przyjaciela od lat dziecinnych sir Benjamina Westerpon i dr. Adullhama. W Petersburgu przybrali czwartego towarzysza podróży, Szweda Essmana, który już z Nordenskjöldem jeździł do bieguna północnego. Przez tundry syberyjskie odbywają podróż na sankach, ciągnionych przez psy, i już z Londynu zabrali ze sobą cztery pary wybornie skonstruowanych sanek, a psy nabyli od Tunguzów.

Uprasza się szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego, którzy jeszcze nie wnieśli wkładki za rok bieżący, a nie otrzymali dotąd kwitu Towarzystwa za pobraniem, ażeby ją raczyli na ręce Sekretaryatu Towarzystwa jak najprędzej uiścić.

Pojedyncze numera „Łowca" nabyć można po cenie 50 ct. w. a. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie ulica Karola Ludwika L. 1.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

TREŚĆ:

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.